

Poznaj Świat

3
2012

Cena 9,95 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

Albiński, Mazurek, Rosiak
W numerze:
Albiński, Mazurek, Rosiak

str. 14

Anna Urbańska
INDONEZJA

str. 82

Przemysław Kozłowski
EKWADOR

str. 96

Dominik Szmajda
CZAD

str. 96

AFRYKANOWKA

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9 770032 614209 03

+

IRLANDIA • KANADA • ZATOKA BOTNICKA • BRAZYLIA / PERU

www.poznaj-swiat.pl

14. Ogólnopolskie Spotkania Podróżników, Żeglarzy i Alpinistów

KOŁOSY



Gdynia, 9-11 marca 2012

Hala Sportowo-Widowiskowa „Gdynia”
ul. Kazimierza Górskiego 8 (wstęp wolny)

www.kolosy.pl
www.gdynia.pl/spotkania

organizatorzy

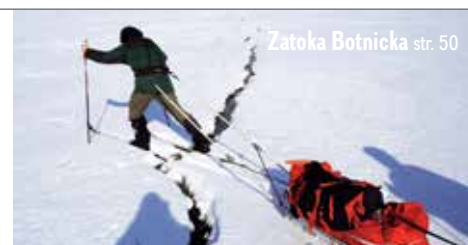


patroni medialni

sponsor outdoorowy



Czad str. 96



Zatoka Botnicka str. 50



Polska str. 110

FOTOFORUM Najlepsze zdjęcia naszych Czytelników str. 4

MAFEKING str. 10

Najnowsze opowiadanie **Wojciecha Albińskiego**

ZOBACZYĆ BIAŁEGO str. 14

Plemię Korowai zamieszkujące dżunglę w Nowej Gwineji do dziś kulturowo polowalnia na czarownice i kanibalizm. **Anna Urbańska**

TAM, TAM I INNE KIERUNKI... str. 28

Felieton **Dariusza Rosiaka**

BIEGIEM DOKOŁA ŚWIATA str. 30

Piotr Kuryło obiegł samotnie cały świat. **Zofia Piłasiewicz**

GEOSKOP str. 38

KAJAKIEM PRZEZ OCEAN str. 42

Jako pierwszy na świecie przepłynął kajakiem Atlantyk.

Aleksander Doba

PIECHOTĄ PRZEZ MORZE str. 50

Zimowy trawers Zatoki Botnickiej. **Krzysztof Paul**

NAVIGATOR str. 56

ŚWIĘTO ZIELONEJ WYSPI str. 60

Dzień Świętego Patryka to święto Irlandii i wspaniała okazja, by wybrać się do Dublina. **Marek Grubka**

MAZUREK NA WYNOS str. 66

Felieton **Roberta Mazurka**

I JAK TU NIE KOCHAĆ CZUKCZÓW str. 68

Enurmino to mała, odcięta od świata miejscowość na północy Półwyspu Czukockiego. Życie mieszkańców toczy się wokół polowań na foki, morsy i wieloryby. **Monika Witkowska**

DUCHY Z ISAN str. 76

Phi Ta Khon to tajski festiwal duchów. **Michał Pauli**

KRAJ NA ŚRODKU ŚWIATA str. 82

Równik przecina wiele państw, ale tylko Ekwadorczycy byli z tego faktu tak dumni, że nazwę swego kraju wzięli od linii dzielącej Ziemię na dwie połowki. **Przemysław Kozłowski**

PRZYJAZNA METROPOLIA str. 90

W Toronto mieszkają przedstawiciele 150 grup etnicznych, a w 2001 roku miasto otrzymało od ONZ tytuł Najbardziej Wielokulturowego Miasta Świata. **Agnieszka Borkowska**

CZAD NA ROWERACH str. 96

Podróż czwórki rowerzystów przez Czad, śladami Kazimierza Nowaka.

Dominik Szmajda

POZNAJ ŚWIAT OD KUCHNI str. 106

Redakcja podejmuje kulinarne wyzwania Czytelników.

Z PERSPEKTYWY str. 108

Felieton **Ryszarda Badowskiego**

ANIELSKIE MIASTECZKO str. 110

Lanckorona to miejscowość hołubiona przez artystów i chętnie odwiedzana przez tych, którzy szukają spokoju i natchnienia.

Agnieszka Kantaruk.

POZNAJ ŚWIAT W DELEGACJI str. 117

Rozmowa z **Krzysztofem Dębskim**

OUTDOOR str. 118

POLSKA, KTÓREJ NIE MA str. 120



NA OKŁADCE:
Pasterka z Czadu

KATEGORIA 11 - 14 LAT - I MIEJSCE

MŁODY FOTOGRAF DZIKIEJ PRZYRODY ROKU 2011



© MATEUSZ PIESIAK, POLSKA, „Siła uporu”

Mateusz Piesiak (Polska)

USA

Siła uporu

Mateusz owinął swój aparat w wodoodporny pokrowiec i zaczął się czołgać po mokrym piasku. Jego celem było podejście jak najbliżej do niewielkiego stada ostrygojadów na plaży, na Long Island, w stanie Nowy York. Ptaki były tak bardzo zaangażowane żerowaniem, że kompletnie go ignorowały. Czasami w pogoni za skorupiakami przebiegały obok niego na wyciągnięcie ręki. Jeden z młodych ostrygojadów usiłował samodzielnie znaleźć pożywienie. „Gdy tylko widział dorosłego osobnika ze smacznym kąskiem, podbiegał do niego z głośnym, żebrzącym nawoływaniem i usiłował mu go wyrwać. Czasami dorosłe ostrygojady dawały mu skorupki, innym razem wybuchły głośne kłótnie”. Mateusz spędził tak dużo czasu obserwując ostrygojady w akcji, że nie zauważył zbliżającego się przyływu, do chwili, gdy zalała go fala. „Na szczęście udało mi się utrzymać aparat wysoko w górze. Było mi zimno, miałem piasek w ubraniu, włosach i uszach, cały byłem przemoczony, ale zrobiłem zdjęcie, o które mi chodziło”. Ostrygojad jest gatunkiem chronionym. Swoją nazwę zawdzięcza umiejętności otwierania muszli małży.

Marc McCormack (Australia)

AUSTRALIA
Biały humbak

Migaloo (w języku Aborygenów „biały humbak”) jest jedynym znanym humbakiem-albinosem na świecie. Marc fotografował go najpierw z poziomu morza, jednak wiedział, że sposobem na zrobienie doskonałego zdjęcia będzie uchwycenie go z lotu ptaka. Dowiedziawszy się, że załoga łodzi turystycznej zauważyła Migaloo u wybrzeży Zielonej Wyspy, daleko na północ od Queensland, Marc wynajął helikopter. „Tego dnia morze było nieomal gładkie. Nacisnąłem spust migawki dokładnie w chwili, gdy Migaloo wziął ostatni wdech i znikł jak gigantyczny duch w głębinach”. Migaloo należy do gatunku humbaka australijskiego, którego populacja szacowana jest na 15 tys. sztuk. To znacznie poniżej połowy stanu sprzed rozpoczęcia połowów wielorybów na skalę przemysłową. Migaloo, zwany inaczej długopłetwcem, słynie z odgłosów, jakie wydają samce. Ich pieśni składające się z pisków i ryków słyszalne są na przestrzeni kilometrów. Naukowcy twierdzą, że dźwięki te służą porozumiewaniu się lub są elementem godów. Podobno w ich pieśniach rozróżnić można zwrotki i refreny.



© Marc McCormack, Australia, Biały humbak

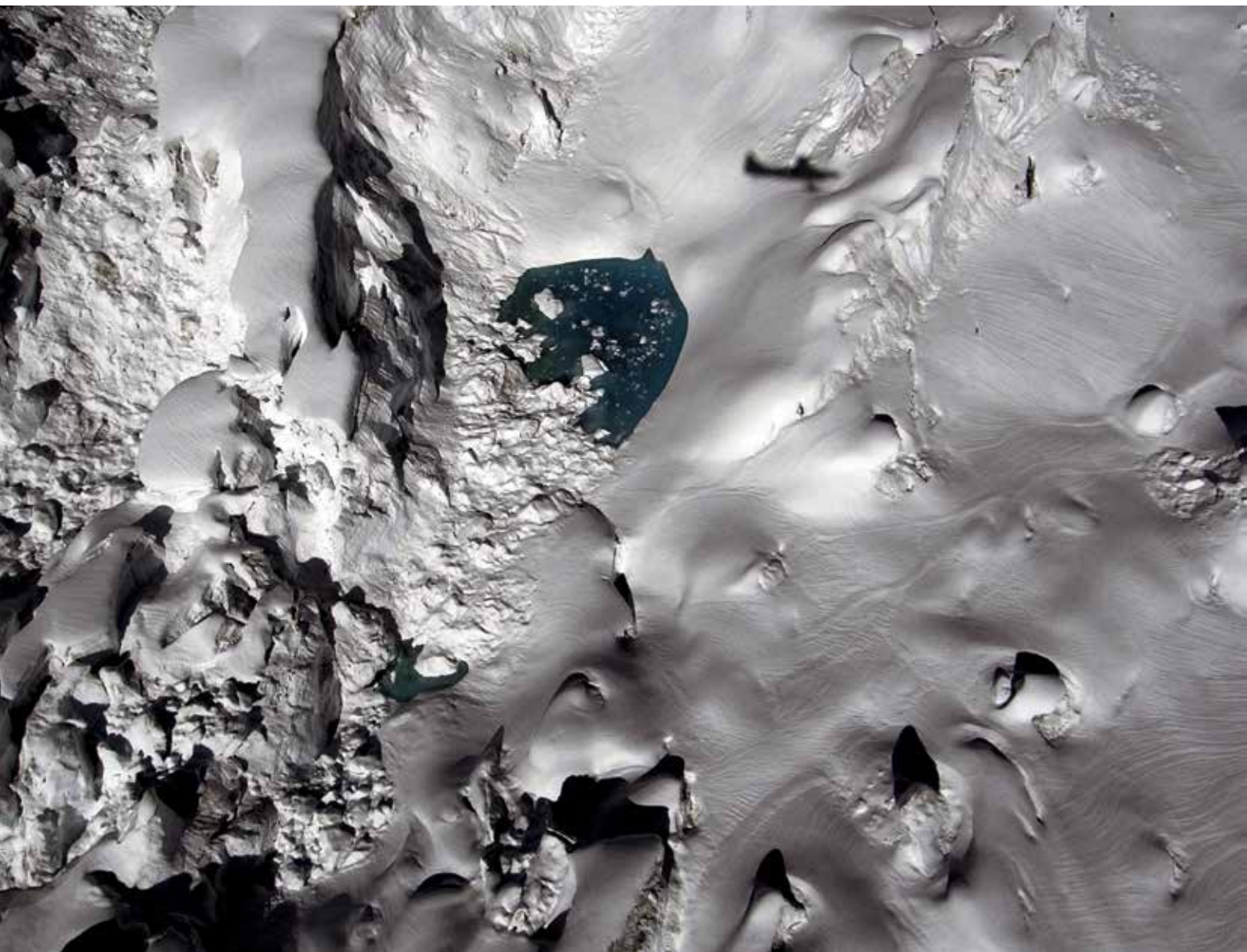
ZDJĘCIA I TEKSTY POCHODZĄ Z WYSTAWY FOTOGRAFIA DZIKIEJ PRZYRODY 2011, KTÓREJ PATRONEM MEDIALNYM JEST MIESIĘCZNIK POZNAJ ŚWIAT. W DNIACH 2-28 MARCA 2012 WYSTAWA BĘDZIE PREZENTOWANA W MUZEUM NARODOWYM W SZCZECINIE.
WWW.FOTOGRAFIADZIKIEJPRZYRODY.PL

Mariusz Raczyński

ALASKA

Cień na wielkiej górze

Mount McKinley to najwyższy szczyt Ameryki Północnej. Wznosi się na wysokość 6194 m n.p.m. Góra ta zwana jest także Mount Denali, co w lokalnym indiańskim języku Athabaskan znaczy „wysoka”. Wchodzi ona w skład Korony Ziemi, którą chcą zdobyć wszyscy alpinści. Jednak swoich sił może próbować tu zaledwie kilkaset osób rocznie, ponieważ przepisy ograniczają liczbę wejść.





Mariusz Woziński

SZKOCJA
Nessie i James tu byli

Zamek Eilean Donan położony jest na wyspie Loch Duich, niedaleko miejscowości Dornie, w zachodniej części regionu Highland. To typowy szkocki krajobraz i typowa dla tego kraju pogoda. Miejsce to stanowiło scenę dla filmów zarówno z Jamesem Bondem, jak i potworem z Loch Ness.





Robert Szewczyk

POLSKA

W szacie z szadzi

Beskid Niski, Blechnarka – ostatnia wieś przed granicą ze Słowacją. Zza oszronionych drzew widać wybudowaną w 1801 r. cerkiew św. Kosmy i Damiana. Dziś w tej łemkowskiej wsi mieszka zaledwie kilkadziesiąt osób.

Prześlij zdjęcie! Na nasz adres: redakcja@poznaj-swiat.pl przysyłajcie zdjęcia w formacie jpg. W tytule piszcie FOTOFORUM. Inny sposób na przesłanie zdjęcia to wypełnienie formularza na naszej stronie: www.poznaj-swiat.pl. Dzięki FOTOFORUM wszyscy zobaczą, jak wygląda nasz wspólny świat.



MAFEKING

Wojciech Albiński



FOT. SHUTTERSTOCK

Klub Farmerów mieścił się w budynku z końca dziewiętnastego wieku. Kolonialna architektura, potęga, solidność i bogactwo. Nie było tu miejsca na cienkie ozdoby, strzeliste łuki czy wątle kolumny zakończone rzeźbami. Ten rodzaj zdobnictwa zostawiano cudzoziemskim burdelio.

Na ścianach zachowało się kilka portretów brytyjskich generałów i gubernatorów. Z dłońmi spoczywającymi na główkach szabel, w tunikach obsypanych orderami, spokojnie patrzyli w przestrzeń, pewni wierności swoich oficerów i wagi sprawy, jakiej służą. Kilku portretów brakowało. Zastąpiono je malowidłami przedstawiającymi łańcuchy górskie, wodospady i tańczących wojowników w spódniczkach. W jednym miejscu kryształowy żyrandol zastąpiono skręconymi drutami i kołem od wozu ozdobionym żarówkami.

Farmerzy Henrik van Wyk i Martin van Zyl byli stałymi bywalcami Klubu. Farma Henrika leżała dziesięć mil od miasta, ziemia Martina zaczynała się trochę bliżej. Obaj pochodzili ze starych burskich rodzin, zakorzenionych od dziesiątków lat w tych okolicach. Każdy z nich miał około kilku tysięcy hektarów.

Tematem ich rozmów była polityka. Tak, ten temat zdominował ich myśli i przysparzał dużo kłopotów. Wystarczyło spojrzeć na mapę Afryki czy świata. RPA była osamotniona. Nikt nie uznał, że kraj jest dobrze rządzony, nie tonie w długach, a ludność nie cierpi głodu. Każdy widział cierpienia czarnej ludności. Organizacje międzynarodowe co kilka tygodni uchwałyły nowe proklamacje potępiające RPA. W Klubie Farmerów w Mafekingu nikt nie przejmował się tym stanem rzeczy, ale Henrik i Martin zaczęli się poważnie obawiać, że któregoś dnia ta beztraska się na nich zemści. Ludzie nie chcieli wierzyć w zbliżające się niebezpieczeństwo.

Wierzyli, że Republika jest nie do obalenia.

Obaj wywodzili się z rodzin zasiedziały w tych okolicach farmerów. Ich żony miały w rodzinach działaczy Partii Konserwatywnej blisko powiązanych w rządem. Tym bardziej brak patriotyzmu byłby im nie do wybaczenia. Ostentacyjnie czytali afrykanerskie pisma, które były optymistyczne i konserwatywne, uspakajały białą populację i zapewniały, że czarni nigdy nie dojdą do władzy.

– *Jadę do Johannesburga* – powiedział Martin van Zyl.

– *Po co?* – spytał Henrik.

Pochylił się w stronę przyjaciela tak, aby nikt inny ze stojących przy barze nie mógł usłyszeć odpowiedzi.

– *Business. Złoto* – odpowiedział Martin. – *W końcu tygodnia powinienem być z powrotem i pokażę ci, co zwojowałem.*

Pomysł wydał się Henrikowi doskonały. Już zbliżając się do Johannesburga, widziało się olbrzymie żółte hałdy, niektóre porośnięte trawą, inne gołe. Nad tymi, które były usypane w ostatnich latach, unosiły się pióropusze ze złotego piasku. W miarę przybliżania się do miasta najpierw widać było żółte dymki, okalające wysokie góry, a potem obracające się czarne koła kopalni. Nie było innego powodu dla powstania Johannesburga, jak tylko te kopalnie, nie było tu rzeki ani centrum handlowego. Nikt nie wie, dlaczego miasto tak nazwano.

Henrik był zadowolony, że Martin rozpozna sytuację, łatwo jest uczynić chybną inwestycję i stać się pośmiewiskiem rodziny i Farmerów.

– *Ani słowa nikomu. Gdybym miał czas, to bym pojechał z tobą* – rzekł. Zabrzmiało to dziwnie, Martin nie potrzebował pouczeń. Z ich obu to on był mniej skory do zwierzeń i nawet w zupełnie błahych sprawach trzymał język za zębami.

Po kilku dniach Martin był z powrotem. W Johannesburgu źle wrócono Republice, angielskojęzyczne pisma otwarcie natrzęsały się z rządu i z partii konserwatywnej.

Na szczęście politycy, jak zawsze, w swoich ocenach przesadzali, rząd natomiast usypiał w aurze fałszywego bezpieczeństwa. Martin dobrze wszystko wy badał i podzielił się wiadomościami z przyjacielem.

Frank New był głównym managerem firmy „Uncja”, która była firmą inwestycyjną. To właśnie z nim Martin odbył długie rozmowy w czasie swojej wyprawy do Johannesburga. Obaj odkryli, że myślą bardzo podobnie. Finansista nie ograniczał się do suchych cyfr i statystyk, ale widział sprawy w ich wymiarze historycznym. Odpowiadało to Martinowi, który planował bezpieczne inwestycje, a te, był o tym przekonany, udają się jeśli ich skala przekracza skromne wymiary ekonomii.

Frank New znalazł czas na odwiedzinę Mafekinga. Ten zbieg okoliczności znakomicie mógł przyspieszyć

planowane transakcje. Martin van Zyl pierwszy był o tym poinformowany i natychmiast przekazał wiadomość współnikowi. Podróż obu farmerów do Johannesburga byłaby dużo bardziej kłopotliwa. Wymagałaby długich rozmów z Henrikiem, ustalenia daty i miejsca.

W dniu powszednim Klub był opustoszały – doskonałe miejsce dla bliższego poznania się i nawiązania rozmów z finansistą. Jednak Henrik nie był zadowolony z pośpiechu. Decyzje podjęte zbyt szybko mogą być wadliwe.

Ludność biała dzieliła się na dwie główne grupy. Jedną – mówiącą po angielsku, drugą – z językiem domowym afrykanerskim. Miało to swoje historyczne uzasadnienie. Henrik i Martin, jak przystało na farmerów, na co dzień posługiwali się afrykanerskim, Frank New angielskim. Mafeking był teatrem wojny angielsko-burskiej z lat 1899-1900 i zostały po tym okresie rozsiane ślady: pomniki, muzeum, pola bitew.

Obaj farmerzy czekali na Franka z lunchem w Klubie. Gdy przed dwunastą zaszeleściły opony, przyjrzeni się finansistcie badawczo. Pierwsze wrażenie zrobił na nich pozytywne, a on też odniósł wrażenie, że ubije z nimi interes. Zastanawiał się, czy ich słowo coś znaczy. Z kolei on był dla nich skokiem w nieznanne.

Na szczęście, tego pierwszego dnia nie musieli się do niczego zobowiązywać, nie musieli składać ani jednego podpisu. Frank wytłumaczył im, na czym polega ten biznes, po czym dał im czas, cały tydzień do zastanowienia się. Farmerzy skwapliwie skorzystali z trafiającej się okazji. Zwłaszcza że ceny kruszcu dwa razy wzrosły w ciągu ubiegłego miesiąca. To oczywiście nie oznaczało tego samego, co wzrost akcji na giełdzie, ale trzeba być optymistą.

Obserwowali się wnikliwie. Frank New ubrany był w garnitur biurowy oraz jedwabny, granatowy krawat. Nie przewidywał widocznie wyprawy w teren ani oglądania krzaków na pustyni. Farmerzy nie szykowali się na eleganckie przyjęcie. Zjawili się w bluzach khaki, z metalowymi guzikami, w krótkich spodniach i skarpetach podwiniętych pod kolana. Pokazali w ten sposób, że mają czas tylko na wstępne rozważania. Teren, jaki miałby być sprzedany obmierzy geodeta, a mapy zostaną zatwierdzone w Pretorii.

Frank mówił ciekawe rzeczy. Kapitał nie powinien spaść, a przynosić zyski. Rudy złota należy eksploatować. Trudno było farmerom się z tym nie zgodzić. Chcieli wejść w świat biznesu, a tu okazja trafiała się sama. Frank wyjawiał, że już od wielu lat pomaga farmerom, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji, zarówno posiadaczom kapitału, jak i właścicielom złotej rudy. Pełniąc funkcję dyrektora firmy „Arleta”, był dla farmerów dobrodziejstwem bożym.

Henrik van Wyk i Martin van Zyl słuchali tych wywodów z niedowierzaniem. Polityczne argumenty trochę ich przekonały. Starali się jednak niczego nie dać po sobie pokazać.

– *Jakkolwiek byśmy tego pragnęli – tłumaczył Frank New – obecnej sytuacji politycznej nie da się utrzymać. Ale nie martwcie się, „Arleta” ma już kilku czarnych akcjonariuszy, którzy zapewnią jej przetrwanie.*

Następne spotkanie odbyło się w biurze „Arlety” w Sandton. Był to luksusowy budynek obłożony jasnym marmurem. Tak farmerzy wyobrażali sobie wytworną siedzibę posiadaczy akcji złota. Otwierał się przed nimi nowy świat daleki od sadzenia kukurydzy. Wystarczyło sprzedać półpustynną ziemię i nabyć akcje złota „Arlety”, a stawało się po części właścicielem tego pięknego świata. Ale przede wszystkim bezpieczeństwo... W biurach „Arlety” czuli się jak u siebie w domu. Poznali kilku czarnych managerów, co potwierdziło słowa Franka o wielorasowym charakterze kompanii.

Przyjemnie zaskoczyły obu przyjaciół plany rozszerzenia działalności „Arlety” na przyległe kraje afrykańskie. Przed nimi nie trzymano tego w wielkiej tajemnicy. Przyjęto, że obaj farmerzy stali się już częścią „rodziny” i ukrywanie przed nimi planowanych posunięć nie miałooby wielkiego sensu. Kulu, elegancki, czarny dżentelmen, nie krył, że jest siostrzeńcem prezydenta Zambii, a znowu prezydent Mozambiku spokrewniony jest z Victorem Hubem, z którego gabinetu przed chwilą wyszli. Obaj są osobistymi przyjaciółmi Franka New.

– *I dlatego rosną akcje „Arlety”? – spytał Van Zyl.*

– *Być może – opowiedział Frank New – bardzo trudno jest manipulować cenami akcji.*

Od trzech lat farmy w tej okolicy nie miały dochodu. Tym bardziej warto było zamienić je na akcje „Arlety”. Farmerzy odwiedzili biura kompani, którą już trochę uważali za swoją. I odnieśli bardzo dobre wrażenie. Przyszedł czas na transakcję.

Geometra wyznaczył część farmy Henrika, którą zgodzono się sprzedać. Tydzień później Martin van Zyl objechał land roverem i oznaczył ziemię, z którą z bólem serca zdecydował się rozstać. Teraz dopiero obaj farmerzy odczuli przykrość rozstania się z piaskowymi hałdami i niekończącymi się polami kukurydzy. Milionowe sumy wpłynęły na ich konta bankowe, pozostało tylko dokonać transakcji z „Arletą”... Oznaczono dzień i godzinę. „Nedbank” dokonał wpłaty. Akcje w momencie jej dokonania wynosiły sto dwadzieścia randów, nowi właściciele obiecali sobie pilnie kontrolować wahania na giełdzie i, w razie gdyby zarysowały się tendencje spadkowe, powziąć odpowiednie kroki.

– *Nigdy akcje nie spadają w ciągu jednego dnia – zapewnił przyjaciele Martin. – A Frank New wygląda na fachowca.*

– *Do tego międzynarodowe powiązania „Arlety”: Rodezja, Zambia, Mozambik... – wtrącił Henrik van Wyk. – Tam wszędzie buduje się kopalnie złota z błogostawieństwem miejscowych prezydentów.*

– *Nie zdziwiłbym się, gdyby to była robota „Arlety”... – dodał Martin z uśmiechem.*

Kilka tygodni później przyjaciele spotkali się znowu. Akcje „Arlety” ciągle rosły. Powoli, ale w sposób stały i budzący zaufanie. Dopiero „Financial Mail” swoimi doniesieniami z Rodezji i Mozambiku nadszarpnęła wiarę w stabilność polityczną obu krajów. Podobno grasują tam partyzanci i nikt o zdrowych zmysłach nie włożył w kopalnie pięciu groszy. Do tego zawsze można się spodziewać przewrotu kliki generalskiej.

Tymczasem ceny akcji bezustannie spadały i daleko odbiegły od ceny kupna. W gazetach otwarcie pisano, że farmerzy wpadli w pułapkę.

Wszystkie te argumenty Frank New zbijał z łatwością. Oświadczył, że Henrik i Martin powinni mieć więcej cierpliwości.

O Autorze...

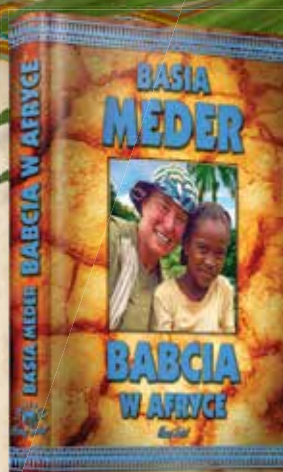


Wojciech Albiński (urodzony w 1935 roku w Warszawie) od najmłodszych lat pasjonował się literaturą. Podczas studiów geodezyjnych na Politechnice Warszawskiej był jednym z założycieli pisma „Współczesność” – wraz ze Stanisławem Grochowiakiem, Ireneuszem Iredyńskim, Romanem Śliwonikiem – na jego łamach publikował swoje wiersze i opowiadania. Należał też do Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich. W 1963 roku wyjechał za granicę, mieszkał w Paryżu, a później w Genewie, współpracował z paryską „Kulturą”. W roku 1969 wyjechał do Afryki, przez wiele lat pracował jako geodeta w Botswanie i RPA.

W 2003 roku opublikował w Polsce tom opowiadań „Kalahari”, który otrzymał nagrodę im. Józefa Mackiewicza i został nominowany do nagrody Nike. Od tego czasu Albiński wydał: „Królestwo potrzebuje karta” (2004), „Antylopa szuka myśliwego” (2006), „Lidia z Kamerunu” (2007) i „Achtung! Banditen!” (2009).



**KSIĄŻKI
POD PATRONATEM
„POZNAJ ŚWIAT”**



Basia Meder
BABCIA W AFRYCE
format: 145 x 205 mm
cena: 42 zł

**PODRÓŻNICZA
KSIĄŻKA ROKU
TRAVELER
2010**
PRYZNANA PRZEZ
NATIONAL
GEOGRAPHIC



Wojciech Cejrowski
**PODRÓŻNIK W C
WYDANIE II POPRAWIONE**
format: 145 x 205 mm
cena 43 zł



Basia Meder
**BABCIA W PUSTYNI
I W PUSZCZY**
format: 145 x 205 mm
cena: 42 zł



Antonio Halik
**180 000 KILOMETRÓW
PRZYGODY**
format: 145 x 205 mm
cena: 35 zł



Antonio Halik
**JEEP. MOJA WIELKA
PRZYGODA**
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł



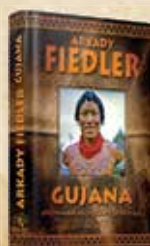
Antonio Halik
**Z KAMERĄ I STRZELBĄ
PRZEZ MATO GROSSO**
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł



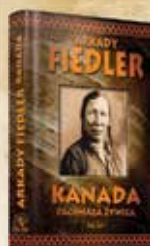
Wojciech Cejrowski
**GRINGO WŚRÓD
DZIKICH PLEMION**
format: 145 x 205 mm
cena: 43 zł, 49 zł (zapachowa)



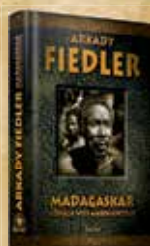
Arkady Fiedler
DYWIZJON 303
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł, 15 zł (opr. miękka)



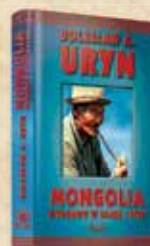
Arkady Fiedler
**GUJANA. SPOTKAŁEM
SZCZĘŚLIWYCH INDIAN**
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł



Arkady Fiedler
**KANADA
PACHNĄCA ŻYWICĄ**
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł



Arkady Fiedler
**MADAGASKAR. GORĄCA
WIEŚ AMBINANITELO**
format: 145 x 205 mm
cena: 49 zł



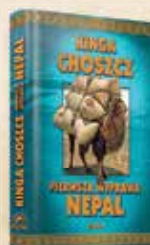
Bolesław A. Uryn
**MONGOLIA. WYPRAWY
W TAJGĘ I STEP**
format: 145 x 205 mm
cena: 42 zł



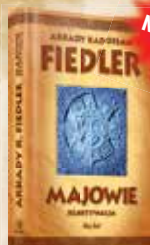
Kinga Choszcz
**PROWADZIŁ NAS LOS.
KINGA & CHOPIN**
format: 145 x 205 mm
cena: 47 zł



Kinga Choszcz
MOJA AFRYKA
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł



Kinga Choszcz
**PIERWSZA WYPRAWA.
NEPAL**
format: 145 x 205 mm
cena: 41 zł



Arkady Radostaw Fiedler
**MAJOWIE.
REAKTYWACJA**
format: 145 x 205 mm
cena: 36 zł



Stefan Czerniecki
DALEJ OD BUENOS
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł

NOWOŚĆ!

NOWOŚĆ!

Wydawnictwo „Bernardinum”, ul. Bpa Dominika 11, 83-130 Pelplin
tel.: 58 531-64-81, 58 536-17-57, fax 58 536-17-26, kom. 662-014-683
e-mail: zakupy@bernardinum.com.pl • www.ksiegarnia.bernardinum.com.pl



Anna Urbańska

ZOBACZYĆ BIAŁEGO

Organizacja Survival International szacuje, że na świecie wciąż żyje około stu grup plemiennych, które nigdy nie miały bezpośredniej styczności z ludźmi z zewnątrz. Izolacja jest na ogół ich świadomym wyborem. Jedno z takich plemion żyje w dorzeczu rzek Eilanden i Becking, w indonezyjskiej części Nowej Gwinei. Jest to teren wyjątkowo trudno dostępny – nizinna dżungla poprzecinana dziesiątkami rzek i strumieni, na północy odcięta stromymi łańcuchami gór, na południu bezkresnymi bagnami, ciągnącymi się aż po wybrzeże Morza Arafura.





FOT. ANNA LAMUBURBAŃCZY



Izolacja geograficzna, wojownicze usposobienie i niezwykle przywiązanie do tradycji sprawiły, że żyjące w tym rejonie plemię Korowai przetrwało do początku XXI wieku jako osobliwy skansen epoki kamiennej. Pierwsi przybysze z zewnątrz dotarli na skraj terytorium Korowajów w latach 1980. Wcześniej zapuszczały się tutaj tylko wyprawy łowców głów z asmackiego szczepu Citak-Mitak, tradycyjnie traktujące Korowajów jako obiekt polowań. Z czasem na południowo-wschodnich obrzeżach terytorium zaczęły wyrastać zakładane przez misjonarzy wioski. Korowajowie, prowadzący półkoczowniczy tryb życia, przenosili się do nich z oporami, traktując je raczej jako miejsce, gdzie można było wymienić sago, jaja kazuarów i pióra rajszych ptaków na ubrania, sól, tytoń, żyłki i stalowe narzędzia. Korowajowie niechętnie poddawali się ewangelizacji – przejście na chrześcijaństwo wiązałoby się z porzuceniem tradycji, w tym rytualnego kanibalizmu. Do obcych, próbujących wejść na ich terytorium, podchodzili w najlepszym wypadku nieufnie, najczęściej jednak po prostu z jawną wrogością. Jeśli kogoś nie odstraszyła malaria i trudny teren, z reguły skutecznie robiły to strzały.

CZAROWNICE CHODZĄ PO ZIEMI

Po raz pierwszy mieliśmy kontakt z Korowajami w 2006 roku. Gromadząc kolekcję rękodzieła asmackiego, dotarliśmy w górę rzeki Einlanden, aż do Mabul, małej wioski, położonej kilkudziesięciu kilometrów na północ od ostatniego posterunku policji. Na miejscu okazało się, że wioska to kilkanaście rozpadających się, bambusowych chat ustawionych wzdłuż pasa błota. Spośród kilkudziesięciu figurujących w indonezyjskich statystykach mieszkańców, na miejscu było kilkanaście osób. Pozostali „mieszkańcy” wsi żyli w swoich domach w lesie i pojawiali się w wiosce tylko wtedy, gdy do zapomnianej osady docierali przedstawiciele administracji.

Korowajowie, przyzwyczajeni do życia w lesie, nie mieli zaufania do domów osadzonych na niskich palach. Z tradycyjnych domów zbudowanych w koronach potężnych drzew górujących nad lasem, przy dobrej pogodzie widać Góry Snieżne – potężne pasmo przecinające Nową Gwineę ze wschodu na zachód. Góry wydają się być całkiem blisko, ale nawet dla wytrawnego wędrowcy to kilka dni marszu przez dżunglę, często zalaną wodą. Wystarczy, że w górach spadnie deszcz, a w ciągu kilkanastu godzin spływająca na niziny woda zamienia dno lasu w gigantyczny, leniwie płynący potok. To właśnie groźba powodzi jest jedną z przyczyn, dla któ-

rych domy buduje się wysoko nad ziemią. Z punktu widzenia Korowajów nie jest to jednak najważniejszy powód – większość ludzi zgodnie twierdzi, że domy na drzewach chronią przed zdecydowanie gorszym niebezpieczeństwem: khakhua, czyli... wiedźmami. Rzucane przez nie klątwy i czary są w powszechnym przekonaniu przyczyną wszystkich bez wyjątku nieszczęść i niepowodzeń. Nawet śmierć w walce przypisywana jest nie odniesionym ranom, ale działaniu czarów. Khakhua przyjmują postać ludzką, zarówno kobiet, jak i mężczyzn – pomówienie kogoś o czary jest równoznaczne z wydaniem na niego wyroku śmierci. Zgodnie z tradycją, obowiązek zabicia i zjedzenia czarownicy spoczywa na członkach klanu i rodzinie ofiary czarów. Wykonanie tej powinności powierzane jest najstarszemu i najbardziej doświadczonemu wojownikowi. Musi on zwabić czarownicę w zasadzkę, zabić, a następnie upiec ciało i podać je rodzinie do zjedzenia z sago. Szczątki układane są w dziuplach lub wieszane na drzewach na obrzeżach terytorium klanu, by odstraszać kolejne wiedźmy. Mężczyźni mający na koncie kilka zabitych czarownic, cieszą się powszechnym szacunkiem i uznaniem, a opowieści o ich czynach przekazywane są przy ogniskach.

Kolejnym powodem, dla którego domy wznosi się tak wysoko, są wojny plemienne. Z domu wzniesionego na środku przesieki w lesie łatwiej się bronić. Do niedawna klany Korowajów z południa regularnie walczyły z Korowajami Batu („batu” oznacza po indonezyjsku „kamienny” – tak określa się klany żyjące u podnóża gór, tam gdzie rzeki i strumienie mają kamieniste dno). Granica między terytoriami przebiega zaledwie kilka godzin marszu od Mabal, w okolicy rzeki Baygun. Oprócz rzeki, wyznacznikiem granicy jest też obecność tarcz wojennych na werandach domów, które mieszkańcy południa rzeźbią dla ochrony przed duchami. Także strój mężczyzn pozwala rozróżnić te dwa klany. Wojownicy Korowai Batu ochraniają przyrodzenie skorupkami orzechów lub jaj, w przeciwieństwie do Korowajów, którzy zawijają je skrupulatnie w listek.

KALENDARZ IMPREZ

W trakcie pierwszej wyprawy nie udało nam się przekroczyć granicy – nasi przewodnicy z Mabal, mając w pamięci niedawne konflikty klanowe, odmówili zaprowadzenia nas tam. Na pierwszy kontakt musieliśmy czekać trzy lata. W 2009 roku, w czasie trekkingu przez dżunglę w okolicy Mabal, byliśmy świadkami „kurtuazyjnej” wizyty grupy





FOT. ANNA JAKUB URBAŃCZY



Korowajów Batu w jednym z obozowisk na południu. Goście przybyli, by przekazać kalendarz i zaprosić członków klanu na obrzędową ucztę.

Tego typu spotkania są jednym z najważniejszych wydarzeń w życiu społeczności – służą przypieczętowaniu umów małżeńskich, potwierdzeniu sojuszy i nawiązaniu kontaktów handlowych. Przygotowania do nich trwają zwykle kilka miesięcy, tyle bowiem trzeba czekać, aż w pniach powalonych palm zaczną kłuć się czerwce.

Kalendarz – długi patyk z powbijanymi krótkimi patyczkami – wyznacza liczbę dni po-

zostałych do imprezy. Codziennie odłamuje się jeden z nich. Na kilka tygodni przed uroczystością na świeżo wyciętej w dżungli polanie wznosi się specjalny szałas festiwalowy. Kiedy zostanie już zaledwie kilka patyczków, zaczyna się ścinanie kolejnych palm i wypłukiwanie mączki sago. Sago to skrobia, odkładająca się w miąższu dojrzałych palm. Tak jak dla mieszkańców gór Nowej Gwinej podstawą wyżywienia są słodkie ziemniaki, tak dla plemion żyjących w nizinnych dżunglach głównym pokarmem jest właśnie sago. Mączkę piecze się w żarze ogniska



lub smaży z niej placki między liśćmi bananowca obłożonymi gorącymi kamieniami.

Praca trwa od świtu do zmierzchu, mężczyźni ścinają kolejne drzewa i otwierają ich pnie. Kobiety przy pomocy kamiennych tłuczków zamieniają miąższ palm w miazgę, z której przy pomocy wody z najbliższej kałuży, w specjalnym systemie rynien, wypłukują mąkę. Z jednego drzewa uzyskuje się kilkadziesiąt kilogramów sago, przed imprezą ścina się dziesiątki drzew. Wszyscy goście muszą najeść się do syta – ceremonia jest w końcu świętem obfitości.

Na dzień przed ucztą otwiera się pnie drzew świątych kilkanaście tygodni wcześniej. Butwiejące drewno i miąższ palmy pełne są grubych jak palec, kilkucentymetrowej długości larw – jednego z największych przysmaków i zarazem symbolu odradzania się.

IDĄ GOŚCIE

Na to, by udokumentować przygotowania do takiej obrzędowej uczty, czekaliśmy kolejne dwa lata. Małżeństwo zawarte przez jednego z mieszkań-





ców Mabulu, Boasa, z kobietą z północy, z terenów Korowajów Batu, otworzyło nam drogę na północ. W lutym 2011 roku po raz trzeci przyплыliśmy do Mabulu. Tym razem z zapasami na dwa tygodnie w dżungli i kilkuset kilogramami sprzętu filmowego, fotograficznego i wspinaczkowego. Celem był sam środek terytorium Korowajów, w którym wedle zebranych przez nas informacji wciąż żyli ludzie nieutrzymujący kontaktu z cywilizowanym światem, chociaż już zdający sobie sprawę z jego istnienia. Planowaliśmy dotrzeć najdalej jak się da. Z punktu widzenia odległości na mapie dystans był śmieszny – około 20 kilometrów w prostej linii na północny wschód od Mabulu. W lokalnych warunkach oznacza to jednak kilka dni marszu. W ciągu całego dnia wędrówki, klucząc wąskimi, ledwie widocznymi ścieżkami i omijając większe rzeki, posuwaliśmy się zaledwie kilka kilometrów. Dwie godziny drogi od Mabulu zaczęła się woda. Pojedyncze kałuże i przecinające ścieżkę strumienie w końcu zlały się w jedno – maszerowaliśmy po kolana w rdzawobrunatnej wodzie.

Po dwóch dniach marszu dotarliśmy na miejsce – sporą polanę, na której wznosił się zbudowany z liści palmy sagowej szałas ceremonialny. Ponieważ, zgodnie z wierzeniami, tego typu miejsca przyciągają khakhua, na wszelki wypadek obrzędy odprawia się w bezpiecznej odległości od domostw. Dom gospodarzy leżał kilkanaście minut drogi od polany, na środku gigantycznej przesieki. Nasi gospodarze powitali nas z mieszanymi uczuciami, ciekawość walczyła z instynktownym lękiem przed czymś obcym, co może nieodwracalnie zmienić ich świat. Zgodzili się na naszą obecność przez wzgląd na swoich powinowatych z Mabulu, wcześniej na ich terenach nigdy nie było białych. Ostrzeżono nas, byśmy nie oddalali się z obozowiska i nie przeprawiali przez rzekę, za którą zaczynały się już tereny innego klanu, który wciąż nie chciał mieć nic wspólnego z przybyszami z innego świata. W każdym razie, nie oficjalnie. Przez cały pobyt mieliśmy wrażenie, że mieszkańcy sąsiedniego obozowiska, którego nie wolno nam było odwiedzić, obserwują nas czujnie zza zasłony dżungli.

PRZERWANA UROCZYSTOŚĆ

Na przestrzeni kolejnego tygodnia uczestniczyliśmy w przygotowaniach do uczty, systematycznie zaskarbiając sobie sympatię – ostatecznie przelaliśmy barierę nieufności, lecząc z malarii synową naszego gospodarza. Ten rejon jest prawdziwą wyłęgarnią malarycznych komarów. Niektóre spośród

przenoszonych przez nie szczepów zarodźców są odporne na profilaktykę antymalaryczną – wyprawa w 2009 roku kosztowała Kubę dwa tygodnie w szpitalu i kilka miesięcy rekonwalescencji. Dla Korowajów malaria jest codziennością i jedną z podstawowych przyczyn, dla których średnia długość życia ledwie przekracza tutaj trzydzieści lat.

Na dzień przed imprezą w obozowisku zapanoowało poruszenie – członkowie klanu zaczęli znosić do szałasów plecione z liści kosze pełne wijących się jeszcze czerwi. Rozpoczęło się pieczenie placków z sago zmieszanego z larwami żuków – ruch w obozowisku trwał całą noc. Z ciemności otaczających szałas co chwila wynurzały się kolejne sylwetki zgarbione pod ciężarem pakietów z sago i larwami.

Rankiem zaczęli nadciągać pierwsi goście, zapowiadając swoje przybycie okrzykami i waleniem w korzenie przyporowe potężnych drzew. Gospodarze spodziewali się około setki gości z kilkunastu sąsiednich obozowisk. Kilkunastoosobowe grupy wylaniały się z wrzaskiem z lasu i po obiegnięciu szałasów dołączały do biesiadników. Placki z sago piekły się już na kilku stertach gorących kamieni, a na środku szałasów zgromadził się potężny pęk łuków i strzał, odstawionych na czas uczty. Okazało się, że przydadzą się zdecydowanie wcześniej, niż wszyscy ośmieliliby się przypuszczać. W pewnym momencie z zarośli po drugiej stronie strumienia, na szałas zaczęły lecieć strzały. W ciągu kilkunastu sekund wszyscy chwycili za broń. Wzajemne ostrzeliwanie się trwało kilkanaście minut. Nasi gospodarze stanęli na wysokości zadania, wiedząc, że bronią nie tylko swojego obozowiska, ale również honoru klanu.

Atmosfera zrobiła się bardzo nerwowa i, mimo że konflikt został po kilku godzinach negocjacji załagodzony, zakomunikowano nam jasno, że czas byłśmy wracać do siebie. Przyjazne nastawienie zniknęło, a twarze, obdarzające nas do tej pory uśmiechem, stały się stanowcze i surowe. Wprawdzie to nie nasz pobyt stał się zarzewiem konfliktu, ale zobaczyliśmy coś, czego nie powinniśmy. Uczta została przerwana, a szałas stał się miejscem narady wojennej trwającej całą noc. Następnego ranka opuściliśmy obozowisko i ruszyliśmy w stronę Mabelu. Dopiero po drodze nasi przyjaciele powiedzieli nam, że to wszystko przez... dzikie świnię. Weszły one w szkodę i pożarły przygotowywane na ucztę larwy żuków. Gospodarze, pragnąc wyjść z twarzą z trudnej sytuacji, uciekli się do najprostszego rozwiązania – pod osłoną nocy ukradli larwy od sąsiadów zza rzeki. ○







HIGHER FURTHER FASTER

THE NORTH FACE
NEW FOOTWEAR COLLECTION
WILL KEEP YOU OUT LONGER WITH



Biomechanically engineered for stability and impact control, Cradle™ supports your heels and ankles all the way to reduce impact shockwaves and guarantee comfort.



VERTO S4K GTX



HAVOC MID GTX XCR®



SINGLE-TRACK HAYASA



Austria. Photo: Chiara Dendena



Spain. Photo: Early Morning in Colorado, U.S.A. Photo: Keith Lazizinski



Patagonia. Photo: Tim Kemple

see our footwear lab at thenorthface.com



Polacy piją codziennie gorzałę i są katolikami, ale nie tak żarliwymi jak Brazylijczycy (Pan Jezus był przecież Brazylijczykiem), którzy zaraz po mszy codziennie grają w piłkę nożną.



Anglicy są pozbawieni uczuć, poza jednym – pogardą wobec nie-Anglików, wszystkie Hiszpanki mają owłosione nogi i tańczą flamenco, a Francuzi są najlepszymi kochankami na świecie. Amerykanie są głupi, bo nie umieją odróżnić Budapesztu od Bukaresztu, Włosi to nieroby, którzy kochają tylko mamę i makaron, a Niemcy kochają parady wojskowe i jako jedyni na świecie umieją zrobić niepsujący się samochód.

To wszystko prawda, ale nie do końca. Ja na przykład mam w zamrażalniku butelkę wyborowej, która marnuje się od lat, już chyba zmieniła się w ciało stałe, w każdym razie czasem przyglądam się jej, gdy

sięgam po lody albo mrożony szpinak, ale jakoś nie chce mi się jej otworzyć. Wódki nie piłem z dziesięć lat, a mimo to jestem Polakiem. Znam również paru Polaków, którzy nie chodzą do kościoła, a nawet – tak, wiem, że trudno w to uwierzyć – kilku takich, co nie są antysemitami. Znam też takich, którzy wszędzie szukają Żyda, lubią schabowego bardziej niż sałatkę z krabów z makaronem ryżowym i do śmierci nie ustaną w wysiłkach, by Rosja i Niemcy stały się – zgodnie z dziejową sprawiedliwością – częścią Polski.

Gdy mieszkałem w Anglii usłyszałem, że jest to kraj zimnych kobiet i ciepłego

piwa. Potraktowałem tę opinię jak osobiste wyzwanie badawcze. Okazało się, że oprócz ciepłego piwa jest jeszcze zimne, ale to odkrycie było proste. Trudniej było wyrobić sobie opinię na temat kobiet. Na przykład, w każdy weekend w okolicach londyńskich pubów angielskie dziewczyny, ubrane w najbardziej ekstrawaganckie kreacje, chleją na umór, a potem wymiotują do rynsztoka. Nie wszystkie, oczywiście. Niektóre Angielki, że o Szkotkach, Walijskach i Irlandkach nie wspomnę, mają twarde głowy, ale pod prawie każdym pubem zainteresowany wędrowiec znajdzie okaz wymęczonej alkoholem młodej

kobiety (mężczyźni też są oczywiście, ale moje badania terenowe dotyczyły kobiet). Chleją wiosną, latem, jesienią, a nawet zimą i zwykle tak samo ubrane: w miniówkę, pantofelki na obcasie i bluzeczkę, spod której wystają stanik i zwały tłuszczu (głównym pokarmem młodej Angielki są frytki i kebab). Czyli muszą jednak te dziewczyny być ciepłokrwiste, bo jakby były zimne, to by zmarzły pod pubem.

Niemcy nie mają lekkiego życia i, można powiedzieć, że sami są sobie winni, ale trochę mi ich żal, zwłaszcza kiedy zarzuca im się nieładny futbol. Że niby zawsze wygrywają, mimo że są nudni. Podobno Niemcy to piłkarscy sadyści. Uprawiają futbol apodyktyczny, twardy, nieznoszący sprzeciwu, futbol w którym odpowiedzią na skomlenie powalonego przeciwnika jest celny cios dobijający. Niemcy grają w piłkę jakby produkowali volkwageny. Liczy się szybka realizacja planu, może być bez przyjemności. Nikt nie lubi z nimi grać, za to wszyscy ich cenią.

Włosi, też skądinąd faszyci, a historycznie rzecz biorąc również komuniści, powinni budzić strach, albo przynajmniej respekt. To dlaczego nie budzą? Jakoś trudno przychodzi innym traktować ich poważnie. Niby wywołali u siebie kryzys, który może pociągnąć w przepaść całą Europę, przez lata wybierali na szefa rządu faceta, który stał się pośmiewiskiem Europy, ale nikt nie potrafi wyobrazić sobie, że Włochom może stać się cokolwiek złego.

Co złego może stać się w kraju, w którym jest najlepsze jedzenie na świecie, ciągle świeci słońce, i w którym mieszka następcą św. Piotra?

Damien Perquis, francuski piłkarz, który stał się Polakiem, narzeka, że kibice obrzucają go od niedawna przezwiskiem „brudny Polak”. Rozumiem jego rozgoryczenie i też jestem oburzony. To przecież Francuzi są brudasami, Polacy są pijakami (mówi się: „pijany jak Polak”, ale „brudny jak Francuz”). Żeby uniknąć mycia się, Francuzi wymyślili nawet perfumy, co w jakiś perwersyjny sposób traktowane jest przez resztę świata jako ich wielka zasługa w historii ludzkości. Anglicy, Niemcy, Polacy od czasów średniowiecza mieli na swoich zamkach toalety, tymczasem w Wersalu jeszcze w czasach Ludwika XVI dworzanie załatwiali się pod ścianą. I co? I nic, to oni, a nie my uznawani są za wyrocznie w dziedzinie smaku! Brrrr...

No dobra, starczy tych głupot. Albo nie, jeszcze tylko o Amerykanach. Że są ignorantami, ciągle wrzeszczą i mówią po angielsku z okropnym akcentem, a ich aktorzy i prezenterzy telewizyjni wyglądają jak dmuchane lalki powleczone warstwą plastiku. Wszystko się zgadza, ale jakim cudem od końca wojny Amerykanie mają najlepszą gospodarkę na świecie, dlaczego ich uniwersytety są najlepsze, dlaczego ich literatura, sztuka, film podbijają świat? Może jednak nie są tacy głupi, jak nam się wydaje? Może niektórzy Niemcy mają

poczucie humoru, niektórzy Włosi są pracowici, nie wszyscy Francuzi traktują inne narody z wyższością, nie wszyscy Brazylijczycy tańczą sambę i kochają futbol, nie wszyscy Rosjanie umierają z przepicia?

Stereotypy pomagają nam porządkować świat bez konieczności myślenia, a zwłaszcza spotkania innych ludzi i konfrontowania się z nimi. Nie to jest najgorsze, że stereotypy są kompletnie nieprawdziwe. Wręcz przeciwnie – one zawierają trochę prawdy o narodach, czasem jest jej mniej, czasem więcej, ale zwykle coś nam mówią o miejscu i ludziach. Problem pojawia się wtedy, kiedy traktujemy stereotyp jako klucz do zrozumienia drugiego człowieka, kiedy spotykając konkretną osobę, widzimy w niej „snoba Francuza”, „sztywnego Niemca”, „lekkomyślnego Włocha”, „gościnnego Polaka”. Stereotypy wrastają w nas gdzieś w dzieciństwie i potem zostają – u niektórych na zawsze, u innych dopóki nie zdobędą się na wysiłek poznania drugiego człowieka i skonfrontowania własnych wyobrażeń o świecie z rzeczywistością. Są ludzie, którzy jeżdżą za granicę wyłącznie po to, by utwierdzać się we własnych przekonaniach: że Amerykanie są głupi, Czesi śmieszni, a Polacy są najlepsi (albo najgorsi, co na jedno wychodzi). Zamiast słuchać i patrzeć – porównują, zamiast milczeć – oceniają i zawsze wychodzi im ten sam wynik. Nie wiem, po co ruszają się z domu.



CENTRUM
DZIEDZICTWA
SZKŁA KROSNO

Od czerwca 2012 roku zapraszamy do odwiedzenia Centrum Dziedzictwa Szkła w Krośnie, a w nim:

- Galeria Krośnieńskiego Szkla
- Warsztaty szklanego rzemiosła
- Produkcja szkła na żywo
- Wystawa i pokazy „Szkło w fizyce”
- Kolekcja „Światowe marki produkowane w Krośnie”
- Kolekcja „Kamienie milowe krośnieńskich hut”
- Artyści szkła związani z Krośnem – prezentacja twórców

W naszym sklepie – wyjątkowe produkty w najlepszych cenach



www.miastoszklapl



UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI FUNDUSZ
ROZWOJU REGIONALNEGO



Projekt „Centrum Dziedzictwa Szkła w Krośnie” współfinansowany przez Unię Europejską z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego



Dookoła świata
KOŁOSY 2011

BIEGIEM dookoła świata

Zofia Piłsiewicz

FOT. PIOTR KURVIO



– Bóg rozdziela ludziom różne talenty, mnie dał talent do biegania
– mówi Piotr Kuryło, przez wielu nazywany Forrestem Gumpem, jak bohater filmu Roberta Zemeckisa. Bieganie było obsesją Piotra, ale w pewnym momencie stało się przekleństwem. Ciągłe kłopoty finansowe, trudności z utrzymaniem rodziny i ludzka złośliwość sprawiły, że miał dość. Wtedy zdecydował: koniec z bieganiem. Ale koniec musiał być efektowny. Musiał też być ciężki, męczący, tak aby wyczerpał całkowicie chęć do kolejnych startów. Któregoś wieczoru Piotr wziął globus i powiódł po nim palcem. Już wiedział – obiegnie Ziemię dookoła.



FOT. PIOTR KURYLE

W 365 DNI DOOKOŁA ŚWIATA

Obiegnięcie Ziemi zajęło
Piotrowi Kuryle okragły
rok.

– Zawsze byłem sprawny fizycznie, w wojsku lubiłem biegać, ale na poważnie zacząłem po trzydziestce. Najpierw biegałem wokół domu po 15–20 razy, później stopniowo wydłużałem dystanse, a po trzech miesiącach wystartowałem w swoim pierwszym maratonie. To był 2003 rok – Maraton Warszawski. Ukończyłem go, ale prawie połowę przeszedłem. Byłem słaby. Złapałem jednak bakcylię. Potem wystartowałem w biegu morsów na 100 kilometrów. Przebiegłem go w 11,5 godziny i skończyło się to zapaleniem stawów. Już rok później wygrałem ultramaraton na Bornholmie. Zajęło mi to wówczas 8 godzin i 24 minuty. Odkryłem, że dobrze się czuję na długich dystansach, nawet bardzo, bardzo długich. Do Grecji na Spartathlon biegałem

trzykrotnie. Do samej Grecji biegałem 1,5 miesiąca, potem odpoczywałem tam 10 dni, a następnie brałem udział w biegu z Aten do Sparty – 246 kilometrów. Po zakończeniu wracałem do domu, do Augustowa pieszo, a raczej biegiem.

W INTENCJI POKOJU

Od decyzji o obiegnięciu świata do rozpoczęcia biegu minęło zaledwie 6 miesięcy. Piotr codziennie trenował, planował trasę. Wiedział, że kondycyjnie jest gotowy. Znalazł się sponsor, augustowska firma „Ślepsk”, produkująca łódki, która wyposażyła go w kajak i pomogła zorganizować wyprawę. Wiosłowanie miało przenosić aktywność z nóg na ręce i być odpoczynkiem w trakcie morderczego biegu. Kajakarze, olimpijczycy z Augustowa, nauczyli go techniki wiosłowania i dali na drogę skręcane, węglowe wiosło.

Przebiegłem 20 tys. kilometrów



KŁODA NA DOKŁADKĘ
Wyruszając w bieg przez świat, nie wszystko da się przewidzieć, ale na wiele można się przygotować.

Znalazł intencję dla swojego biegu. – *Takiego wysiłku nie można podjąć o tak, dla zabawy. Musi być jakiś cel, intencja, wtedy można przetrwać. Ja postanowiłem ten wysiłek poświęcić w intencji pokoju na świecie. Tyle jest wojen i zła. Może ten mój pot, wysiłek i modlitwa dadzą coś dobrego? Może ludzie zrozumieją, że trzeba bardziej się starać? Swoją bieg nazwał Biegiem Dla Pokoju.*

MODLITWA W TRAMPKACH

Po raz pierwszy adrenalinę i przyływ wyjątkowych sił poczuł w Hiszpanii, niedaleko granicy z

Portugalią, na rzece Tag. – *Na jednym ze spięrzeń, kiedy mój kajak wywrócił się, zaczął wciągać mnie wir. Myślałem, że zginę, że już z tego nie wyjdę, ale jakoś poradziłem sobie z dramatyczną sytuacją. Wspomnienie moich córek i rodziny nie pozwoliło mi utonąć. Opatrzność też nade mną czuwała. Kajak został zniszczony, ale żyłem i miałem poczucie mocy. Jestem silny, myślałem. Z kieszonki kamizelki ratunkowej wyciągnąłem zniszczony skrawek kartki z modlitwą, którą tuż przed rozpoczęciem wyprawy włożyła mu tam żona. Z kawałka zniszczonego papieru odczytał słowa: „Kto ma przy sobie tę modlitwę, tego będzie ona chroniła przed utonięciem”. Zrozumiał*



SAMOTNIE...

**Na tle Gór Skalistych
w Kalifornii.**



**... I W MIŁYM
TOWARZYSTWIE**

**Z Alicją Barachoną,
która trenowała przed
samotnym biegiem.**

wtedy, że siła siłą, ale bez pomocy Opatrzności nie da rady. Biegając, odmawiał różaniec. Bieg stał się modlitwą, pielgrzymką.

Na jednym z pokazów swoich slajdów powiedział: – Zrozumiałem, że Bóg jest nie w świątyni, ale w drugim człowieku.

SILNA PŁEĆ

Stan Pensylwania w USA. Biegł w chłodzie i deszczu, ciągnąc swój wózek już wiele godzin.

– Byłem cały przemoknięty, wychłodzony, a dla biegacza nie ma nic gorszego. Mokre ubranie powoduje obtarcia, a one są bardzo niebezpieczne i szybko zamieniają się w rany. Droga, wzdłuż której biegłem, jechało bardzo dużo samochodów. Żaden się nie zatrzymał. Nagle z mijanego przeze mnie domu wybiegła kobieta i wcisnęła mi w dłonie kubek z gorącą herbatą. Dziś ten kubek to dla mnie najważniejsza pamiątka z podróży. Był mi bardziej potrzebny w tamtej chwili niż wszystkie pieniądze świata. Gdyby dała mi dolary, to przecież nie mógłbym nimi się ogrzać. Myślę, że widziała mnie wcześniej na drodze. Może wracała z pracy samochodem i mnie zobaczyła, a potem przygotowała herbatę i obserwowała drogę, żeby podać mi kubek, gdy będę mijać jej dom. Takie gesty bardzo mi pomagały i były najważniejszym doświadczeniem tej wyprawy.

W Stanach poznał biegaczkę, Polkę, ultramaratonistkę, która biegła po wielkich, zamrzniętych rzekach. Na jednym ze zdjęć widać ich biegnących

Korzystałem z 7 wózków, na których ciągnąłem ekwipunek

San Francisco

Los Angeles

Nowy Jork

FOT. SHUTTERSTOCK



FOT. PIOTR KURWLO

razem. On ciągnie za sobą wózek, ona, przygotowując się do wyprawy, wlecze za sobą samochodową oponę przytroczoną linką do pasa. W USA i potem we Władywostoku słyszał też o Angielce, która także biegła dookoła świata, ale trochę inną trasą, przez Mongolię.

– Kobiety są silne. Myślę, że często silniejsze od mężczyzn, tylko się z tym nie ujawniają. To kobiety częściej starały się mi pomóc. Może są bardziej wrażliwe niż mężczyźni i nie wstydzą się dobrych odruchów?

SYBERYJSKA GOŚCINNOŚĆ

Rosja, sam środek Syberii, gdzieś niedaleko Czity, za jeziorem Bajkał. – *Od paru dni nie myłem się, miałem brudne, przepocone ubranie. Marzyłem o kąpieli. Czita to duże miasto. Na przedmieściu spotkałem na drodze biegnącego młodego człowieka. Spytałem go o tani hotel, gdzie mógłbym przenocować. Powiedział, że znalezienie taniego będzie trudne, może jest taki z drugiej strony miasta. Biegł jakiś czas ze mną i w końcu zaprosił mnie do siebie. Mieszkał z matką w niewielkiej dachy. Dali mi ciepłą strawę, uprali moje rzeczy i wreszcie mogłem się wykąpać. „Bóg mi cię zesłał”, powiedziałem do chłopaka z wdzięcznością, a on odpowiedział: „Tak, wiem! Zawsze biegam inną drogą, z daleka od szosy – bo tu niebezpiecznie i nieprzyjemnie, a dziś coś mi kazało pobiec właśnie tędy. Sam się dziwilem, po co ja tam biegnę. Aż spotkałem ciebie i pomyślałem, że właśnie po to, by cię tu zaprosić”. I jak tu nie wierzyć w Opatrzność?*



ŚNIEGI TOPNIEJĄ
Nic dziwnego,
to już maj
w Zabajkalskim Kraju.

W Rosji już go znali, po przylocie do Władywostoku miał dużą konferencję prasową, pokazywali go w głównych stacjach telewizyjnych. Z Władywostoku do Chabarowska towarzyszyli mu zmieniający się biegacze, eskortowała policja. Za Chabarowskiem był już sam.

Na syberyjskiej drodze spotkał zmęczonego piechura. Ten miał przed sobą jeszcze 50 kilometrów do kolejnego miasta – szukał pracy, był już zmęczony wędrówką. Piotr minął go, a po

chwili zostawił mu na drodze butelkę wody i chleb ze swojej dziennej racji. – *On w tym momencie był bardziej potrzebujący niż ja* – opowiada.

Później zatrzymał się obok niego samochód, kierowca zaproponował podwiezienie. Piotr podziękował i powiedział, że za nim idzie zmęczony człowiek: „On nie profesjonalist, on jest już słaby, jego podwieź”. Samochód zawrócił. – *Może spełniłem dobry uczynek i w jakiś sposób pomogłem temu wyczerpanemu biedakowi.*

Cieszył się, kiedy mógł odwdzięczać się ludziom za ich życzliwość. Za Chabarowskiem, w podzięce za nocleg, w rosyjskiej „głębince” zostawił swoją ciepłą kurtkę i buty.

– *Nawet trudno sobie wyobrazić, w jakich warunkach ludzie żyją i jak niewiele posiadają* – mówi. – *Dałem im te rzeczy, bo myślałem, że już nie będą mi potrzebne. Była przecież połowa kwietnia. No, a potem... spadł śnieg.*



Zdarłem 15 par butów



FOT. PIOTR KURYŁO

SAMOTNOŚĆ DŁUGODYSTANSOWCA

– Najtrudniejsza w tej wyprawie była samotność. Najbardziej mi dokuczala, kiedy kończył się dzień. Czasami biegłem aż do późnej nocy, żeby nie myśleć, nie tęsknić. Na pustyniach w USA często na tle odległego horyzontu nie widziałem nikogo. W rosyjskiej tajdze, tam gdzie drogowoskazy podarwały odległość do najbliższych miejscowości w czterocyfrowych liczbach, bałem się niedźwiedzi. Biegłem dłużej, żeby znaleźć na nocleg chociaż iluzoryczne zabezpieczenie w postaci podwójnych barierek na moście. Między nimi rozstawiałem swój namiot na wózku. Ale jeśli tylko w pobliżu byli ludzie, jakaś wioseczka czy osada – zawsze znajdowałem schronienie. Biegając, całe dni modliłem się o pokój na świecie, o ludzi, którzy w wojnach stracili swoich bliskich, o swoją rodzinę, a na końcu o siebie, żeby deszcz na mnie nie padał. Tak niewiele mi było trzeba – żeby nie padał na mnie deszcz – śmieje się Piotr.

W trakcie biegu zużyłem piętnaście par butów. – Z reguły buty starczą na 700–800 kilometrów, ale ja swoje kleiłem, latałem, uzupełniałem wkładkami wyciętymi z karimaty, dlatego zużyłem tylko piętnaście par. Cały czas musiałem coś naprawiać – a to wózek, a to coś w ubraniu, a to buty.

Już jest po biegu. Ucichę szum medialnego powitania. Co teraz? Piotr Kuryło chciałby opisać swoje doświadczenia, opowiedzieć o nich innym. Nie chce już biegać. Chce znaleźć pracę, być z rodziną i móc dzielić się doświadczeniami. Ma jeszcze jedno marzenie: chciałby znaleźć ucznia. Takiego, który pokochałby bieganie i któremu mógłby przekazać wszystkie swoje doświadczenia. ○

UPS!
To była ostatnia opona. Do najbliższego miasta (Ufa na Uralu) zostało jeszcze 120 km.

A nam jest szkoda Mazur..

Pod koniec 2011 roku wybrano „Siedem Nowych Cudów Natury”. Do tego tytułu pretendowało aż 261 kandydatów. Do drugiego etapu wyłoniono 77 najpiękniejszych miejsc na Ziemi, a spośród nich eksperci pod przewodnictwem prof. Federico Mayora, byłego dyrektora generalnego UNESCO, wybrali 21 kandydatów, wśród których znalazły się Mazury. Potem internauci z całego świata wybrali zwycięską siódmkę:



Wodospad Iguazu – Argentyna/Brazylia

Leżący na pograniczu Brazylii i Argentyny wodospad jest najpotężniejszym wodospadem na Ziemi, mimo iż nie jest najwyższym ani największym. Jednak żaden inny na świecie nie ma tylu osobnych kaskad, których tutaj spływa aż 270.



Amazonka – Ameryka Południowa

To rzeka o największym średnim przepływie na Ziemi. Jej długość to według jednych źródeł 6400 km, zaś według innych 7040 km – co czyni ją najdłuższą rzeką na świecie, o 390 km dłuższą od Nilu. Amazonka posiada też największe na świecie dorzecze (o powierzchni ok. 7 mln km²) i największe zasoby wodne, a w jej dorzeczu wyrastają największe lasy tropikalne.



Ha Long Bay – Wietnam

Zatoka Łądującego Smoka leży w północnej części Wietnamu, w pobliżu miasta Hòn Gai. Na powierzchni 1500 km² rozsiągniętych jest 1969 wapiennych monolitycznych wysp i wysepek. Większość z nich ma formę słupów wyłaniających się wysoko ponad powierzchnię wody. Wysepki porośnięte są tropikalną roślinnością.



Góra Stołowa – RPA

Góra Stołowa jest symbolem Kapsztadu. Znajduje się w północnej części łańcucha górskiego Przylądka Dobrej Nadziei. Najwyższym punktem góry (1086 m n.p.n.) jest kopiec kamieni usypany przez Thomasa Macleara w 1865 roku na potrzeby pomiarów triangulacyjnych.



Rzeka Podziemna Puerto Princesa – Filipiny

Ta podziemna żeglowna rzeka o długości 8,2 km powstała w wyniku procesów krasowych w wapiennych skałach, na których znajdują się liczne stalaktyty i stalagmity. Występujące tu formacje leśne tworzą 8 typów z 13 znanych w tropikalnej części Azji. Swoje siedliska ma tu 800 gatunków roślin. Z fauny najliczniejsze są różne gatunki ptaków, których występuje tu aż 165 odmian.

Wyspa Czedżu – Korea Południowa

To największa wyspa Korei Południowej, leżąca w Cieśninie Koreańskiej. Największym miastem wyspy i stolicą prowincji jest Czedżu. Wyspa została uformowana 2 miliony lat temu przez erupcję wulkanów. Najwyższym szczytem wyspy, a zarazem kraju jest wulkan Halla-san.

Wyspa Komodo – Indonezja

Park Narodowy Komodo leży w centrum archipelagu indonezyjskiego, między wyspami Sumbawa i Flores. Zapewnia schronienie wielu znaczącym gatunkom zwierząt lądowych i ma jedno z najbogatszych środowisk morskich. Na terenie parku żyje największa na świecie odmiana jaszczurki – waran z Komodo, która jest gatunkiem endemicznym.



FOT. WIKIPEDIA – MIKE GONZALEZ

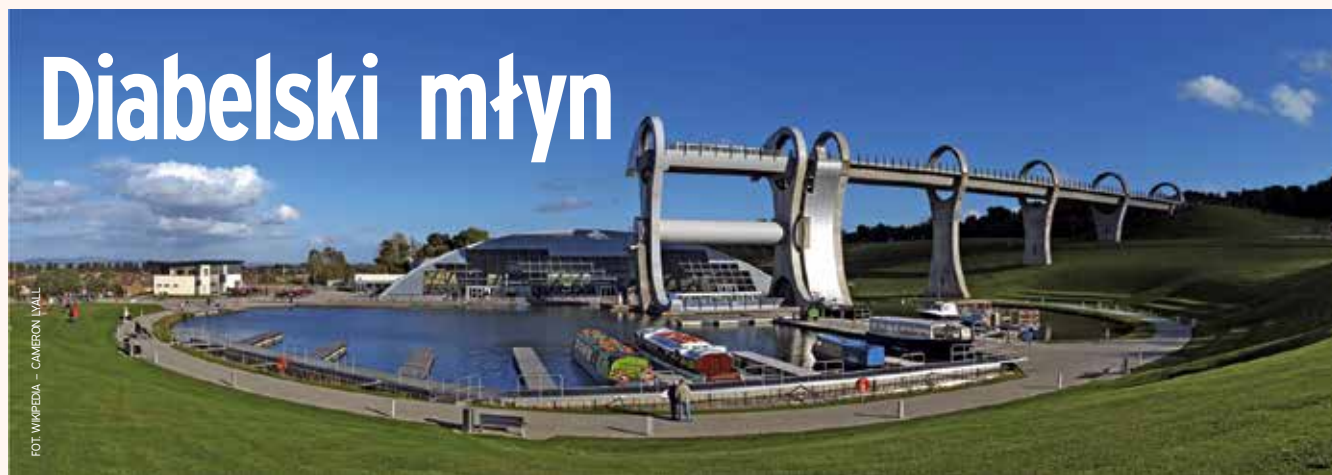


FOT. SHUTTERSTOCK



FOT. SHUTTERSTOCK

Diabelski młyn



FOT. WIKIPEDIA – CAMERON LYALL

Falkirk Wheel w Szkocji to jedyna na świecie obrotowa winda dla statków. Zastąpiła ona ciąg 11 śluz, które łączyły kanały do 1930 roku. Dziś kanały Forth, Clyde i Union łączy wysoka na kilkadziesiąt metrów budowla. Różnica poziomów pomiędzy taflami wody wynosi 24 m. Średnica koła śluzy to 35 m, a kształt ramion windy śluzy przypomina celtycki dwuostrzowy topór – labrys. Obiekt został otwarty przez Królową Elżbietę II 22 maja 2002 r. w trakcie obchodów Złotego Jubileuszu.



Patronat *Poznaj Świat*
MIESIĘCZNIK

NASZE KOLOSZY

Podczas tegorocznych (14-tych już) Ogólnopolskich Spotkań Podróżników, Żeglarzy i Alpinistów – KOŁOSÓW posłuchać będzie można rozwinięcia opowieści, które przeczytać mogą Państwo w aktualnym numerze naszego miesięcznika. Wśród nich znajdują się: opowieść Piotra Kuryło, Aleksandra Doby, Krzysztofa Paula, Dominika Szmajdę, Moniki Witkowskiej oraz Anny i Jakuba Urbańskich.

Ponadto posłuchać będzie można między innymi opowieści o dokonaniach Pawła Kilena, któ-

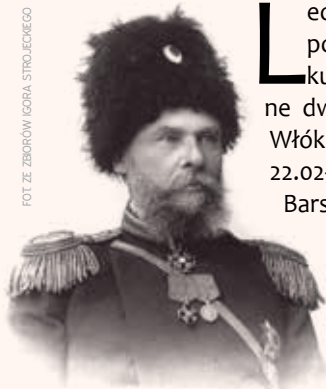
ry w ciągu 5 lat autostopem, jachtem i rowem pokonał 220 tysięcy kilometrów i zwiedził 41 państw na 4 kontynentach; Piotra Milaniaka, który samotnie w warunkach zimowych przejechał przez góry w prowincji Qinghai i Tybecie Wschodnim oraz Krzysztofa Starnawskiego, który na Morzu Czerwonym zanurkował na głębokość 283 m, ustanawiając tym samym rekord świata w nurkowaniu na obiegu zamkniętym.

Na specjalne zaproszenie miesięcznika *Poznaj Świat* swoje prelekcje wygłoszą też nasi autorzy: Andrzej Bober – specjalista ds. Korei Północnej opowie o tym totalitarnym kraju. Wystąpi też Michał Pauli, który został skazany na 12 kar śmierci w Tajlandii.

Do zobaczenia!

więcej na www.kolosy.pl

FOT. ZE ZBIORÓW IGORA STROJECKIEGO



Leon Barszczewski (1849-1910) był polskim podróżnikiem, fotografem i badaczem kultur. W marcu zostaną mu poświęcone dwie duże wystawy. Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi pokaże w dniach 22.02-01.04 wiele fotogramów z podróży Barszczewskiego do Emiratu Bucharji oraz

Samarkandy, wzbogaconych o tkaniny z Azji Środkowej ze zbiorów muzeum. Natomiast w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie od 08 do 29.03 będzie prezentowana wystawa planszowa wraz z kolekcją etnograficzną z Uzbekistanu. Autorem wystaw jest prawnuk podróżnika, Igor Strojecki.

Honorowy patronat na tych wydarzeniach objęła Ambasada Republiki Uzbekistanu w Warszawie.

W maju obie wystawy zostaną pokazane w Chełmie, natomiast latem – w muzeach w Mrągowie oraz Bochni.

Patronat *Poznaj Świat*
MIESIĘCZNIK

Pod górę

Wszędzie i wszystkim polecamy

książkę Katarzyny Pinkosz i Łukasza Żelechowskiego „O dwóch takich... Teraz Andy” wydaną przez Demart.

Ta opowieść nie jest o tym jak „dwóch takich” weszło na Kilimandżaro, Elbrus i Aconcaguę, a teraz planuje zdobycie Korony Ziemi. Pierwszy z nich, Łukasz Żelechowski, jest niewidomy od urodzenia. Drugi, Piotr Pogon, zmaga się z nowotworem, który już doprowadził do konieczności usunięcia jednego płuca. Teraz sami przekonajcie się o czym jest ta książka...





Patronat *Różnaj Świat*
MIESIĘCZNIK

Zimowa wyprawa na Gasherbrum I

W połowie stycznia polska ekipa ruszyła na szczyt Gasherbrum I. Nasi rodacy jako pierwsi na świecie chcą zdobyć ten ośmiotysięcznik zimą. Gasherbrum I (8068 m n.p.m) jest najwyższym z grupy siedmiu Gasherbrumów. To drugi co do wysokości, po K2, szczyt Karakorum. Pierwszymi zdobywcami góry byli w 1958 r.

Amerykany Andrew Kauffman i Pete Schoening. Jako pierwsi Polacy na szczycie stanęli w 1983 r. Wojciech Kurtyka i Jerzy Kukuczka. Dokonali tego w alpejskim stylu, południowo-zachodnią ścianą. Szczyt należy do grupy czterech spośród

czternastu ośmiotysięczników wciąż niezdobitych zimą. Najpopularniejsza droga klasyczna wiedzie od strony zachodniej, a w górnych partiach prowadzi przez tzw. „Kuluar Japoński”, położony w najwyższej części ściany północno-zachodniej. To właśnie ta droga jest celem wyprawy, której najważniejszym zadaniem jest dokonanie pierwszego w historii wejścia zimą na tę jedenastą pod względem wysokości górę na świecie. Uczestnikami wyprawy są: Adam Bielecki, Agnieszka Bielecka, Janusz Gołąb i Artur Hajzer. Więcej na: www.polskihimalaizmzimowy.pl



Karolinka zawróciła!



Chyba każdy zna śląską pieśń ludową „Poszła Karolinka do Gogolina”, ale niewiele osób wie, że w centrum tego miasta stoi pomnik owej dziewczyny. Choć ze słów piosenki wynika, że Karolinka porzuciła Karliczka, stoi on tuż za nią. Obie postacie mają charakter przodowników pracy, a z tablicy umieszczonej pod pomnikiem wynika, że jest on „symbolem zwycięstwa kultury, tradycji i pieśni polskiej nad wielowiekową obcą przemocą”. Postacie Karolinki i Karliczka są również elementami herbu miasta.



Polish Freeride Open 2012 to druga edycja jedynej polskiej imprezy freeride'owej. Odbędzie się ona w dniach 8 – 11 marca w austriackim Heiligenblut położonym u stóp Grossglocknera. Ośrodek słynie z terenów idealnych do uprawiania tak widowiskowej formy narciarstwa jaką jest freeride.

W zawodach biorą udział doświadczeni zawodnicy, amatorzy, czołowi polscy freestyle'owcy i alpejczycy. Dla wszystkich wizyta w Heiligenblut jest okazją do wspólnej jazdy, wymiany doświadczeń i świetnej zabawy. Więcej informacji: www.freerideopen.pl

Patronat *Różnaj Świat*
MIESIĘCZNIK



Brazylia i Peru
KOŁOSY 2011

Aleksander Doba

KAJAKIEM PRZEZ OCEAN POST SCRIPTUM

www.aleksanderdoba.pl



Gdy opowiadam o moich wyprawach kajakowych, często cytuję słowa sir Ernesta Shackletona, irlandzkiego podróżnika i polarnika z początku XX wieku: „Morze, to żywioł, którego nie zwycięży się nigdy; można być jedynie niepokonanym”. Ja Atlantyku nie pokonałem. Ja go tylko przepłynąłem, nie dając się pokonać.



SERDECZNE POWITANIE I POMOCNA DŁOŃ

Ambasador Polski w Brazylii, Jacek Junosza Kisielewski, pomaga zacumować kajak przy pomocy w Acaraú.

Część ubiegłej jesieni i zimy spędziłem w kajaku na Oceanie Atlantyckim. Z zainteresowaniem czytałem potem artykuł w miesięczniku *Poznaj Świat* napisany na podstawie mojego wywiadu udzielonego patronowi medialnemu Transatlantyckiej Wyprawy Kajakowej, Jerzemu Arsobie. Kilka dni po dopłynięciu do Ameryki Południowej byłem

„przesłuchiwany przez niego na okoliczność tego dokonania”. Ten interesujący artykuł napisany na gorąco przez Janusza Czerwińskiego wymaga jednak mojego uzupełnienia o ciąg dalszy, a także sprostowania. Zdaję sobie sprawę, że dziennikarze ubarwiają czasem wypowiedzi rozmówców, zapewniam jednak, że zjadając ryby na surowo, wcześniej usuwałem ich wnętrzności.

ILE TO W KOŃCU TRWAŁO?

Wyjaśnienia wymaga zamieszanie z godzinami startu i zakończenia Wyprawy oraz zakończenia pływnięcia. Wyjeżdżałem z Polic 22 października 2010 roku. Obowiązywał wtedy czas letni. W upalnym Dakarze nie zmieniłem czasu na zimowy i przez kilka kolejnych miesięcy, bazowym czasem był dla mnie polski czas letni.

Start Wyprawy z portu w Dakarze nastąpił 26 października 2010 roku o godzinie 15:30 (mojego, bazowego polskiego czasu letniego, czyli o 14:30 czasu zimowego, obowiązującego już wtedy od kilku dni w Polsce). Moim celem było przepłynięcie kajakiem między kontynentami Afryki i Ameryki Południowej. Celem drugorzędnym było dopłynięcie do mariny w stolicy brazylijskiego stanu Ceará – Fortalezaie.

Środa 02 lutego 2011 to dzień, w którym dopłynąłem do Ameryki Południowej. Po raz pierwszy postawiłem stopę na suchym lądzie o godzinie 15:12 (mojego bazowego czasu). W tym momencie moja Transatlantycka Wyprawa Kajakowa została szczęśliwie zakończona. Podskoczyć z radości nie miałem siły. Przepłynięcie Oceanu Atlantyckiego zajęło mi 98 dób, 23 godziny i 42 minuty.

Byłem jednak około 1,5 km od ujścia rzeki Acaraú, do której chciałem wpłynąć. Tam na mnie czekało. Pchanie kajaka po pływaczach przybrzeżnych w czasie odpływu to wspaniałe ćwiczenie dla mięśni nóg nieużywanych od kilku miesięcy – dwie godziny zajęło mi dotarcie do głębszego toru ujściowego rzeki. Tam właśnie czekał „komitet powitalny” – ambasador Polski w Brazylii Jacek Junosza Kisielewski i patron medialny Wyprawy Jurek Arsoba. Wynajęli łódź rybacką z portu Acaraú położonego 7 km w górę rzeki, by wypłynąć mi na spotkanie. Po zrobieniu serii zdjęć odpłynęli do portu. Ja musiałem się jeszcze zmierzyć z prądem rzeki i silnym wiatrem, który spychał mnie na pływaczki kilkadziesiąt razy. Dopłynąłem do portu

w Acaraú po 7 godzinach i 38 minutach od momentu zakończenia Wyprawy (czyli dopłynięcia do Ameryki).



SZUKAJĄC ŻŁOTEJ RYBKII

Z ciekawością przyglądałem się zdobyciom amazońskich rybaków. Sam również, z różnym skutkiem, próbowałem łowić siecią.

Tuż przed zmrokiem, ten sam komitet powitalny powiększony o przypadkową ludność, witał mnie oficjalnie w Brazylii na pomoście odległym 7 km od oceanu. Wejście na ten pomost uważa-

ne było przez ów komitet za zakończenie mojej ukończonej już Wyprawy. Licząc do tego momentu, czyli godziny 22:50 (mojego czasu bazowego) całość Wyprawy, łącznie z dopłynięciem do portu w górze rzeki Acaraú to 99 dób, 7 godzin i 20 minut.

Jakby tego było mało, po kilkunastu minutach zamieszania, w zapadających szybko ciemnościach musiałem popłynąć jeszcze 700 metrów w górę rzeki pod silny prąd wzmocniony odpływem. Towarzyszyły mi chmury moskitów i boleśnie kąsających muszek.

STANĄĆ NA PEWNYCH NOGACH

Planowo miałem dopłynąć do Fortalezy, jednak nie pozwoliły mi na to, mimo uporczywych wysiłków, niesprzyjające prądy i wiatry. Wylądowałem 210 km na północny zachód od założonego celu. Dotarłem do niego następnego dnia samochodem.

W Fortalezie wzięłem pierwszy prysznic – niby zwykła rzecz, ale dla mnie była to wielka radość. Mogłem w końcu splukać sól, którą byłem nasycały miesiącami.

Oficjalne powitanie zgotowano mi w klubie jachtowym. Szczególnie miłe było spotkanie z kilkunastoosobową Polonią. Po miesiącach odosob-

nienia byłem w wirze towarzyskich rozmów.

Następnego dnia pojechałem na badania. Okazało się, że w ciągu 14 tygodni wyprawy schudłem 14 kilogramów, czyli jeden kilogram na tydzień – wspaniała dieta odchudzająca. Ogólny stan mojego zdrowia lekarz uznał za dobry.

Przez pierwszy tydzień chodziłem z lekkimi zaburzeniami równowagi, jak pod wpływem alkoholu. Starałem się poruszać blisko ścian, a na schodach trzymać poręczy. Długotrwałe prysznice w słodkiej wodzie pozwoliły mi już po tygodniu pozbyć się ze skóry nadmiaru soli i wywołanych nią wyprysków. Kilka miesięcy trwała regeneracja paznokci, które bardzo ucierpiały w kontakcie z wodą oceaniczną, która ma 35 promili soli, pięć razy więcej niż Bałtyk.

POLONIJNA GOŚCINNOŚĆ

Spotkanie z Polonią było bardzo miłe i niezwykle pożyteczne. Czas swojego odpoczynku spędziłem u naszych rodaków. Niezmiernie miła para, Ewa i Maciek, zaprosiła mnie do rezydencji nad brzegiem oceanu, gdzie przez wiele dni „odkarmiali chudzię”. Mieszkałem też u Magdy, która była moim tłumaczem w czasie zmagania z brazylijską biurokracją.



NA PODBÓJ AMAZONKI

Z portu w Fortalezie wypływam z powrotem na Atlantyk, by dotrzeć do ujścia Królowej Rzeki.

FOT. ARCHIWUM AUTORA

POLAK, HINDUS, DWA BRATANKI

Z turystą ze Sri Lanki na pokładzie statku, którym przeprawiałem się w górę rzeki.



Po dwóch miesiącach oczekiwania, na lotnisku w Fortalizie odbierałem „dwa wielbłądy” – Andrzej Armiński i Wojtek Kwaśniak mieli górę bagaży. Przywieźli żywość liofilizowaną, części do przeróbki kajaka oraz sprawną elektryczną odsalarkę (zepsuła się w trakcie Wyprawy zmuszając mnie do używania zapasowej o napędzie ręcznym). W ciągu czterech dni intensywnej pracy kajak został naprawiony i przerobiony według moich życzeń. Przed rozstaniem Andrzej Armiński – strateg Wyprawy – zaproponował, że skoro za późno na Atlantyk, bo zbliża się sezon huraganów, to może wybiorę się na Amazonkę. Po długim namyśle, trwającym niemal 4 minuty, przyjąłem ten plan. Panowie opuścili mnie, zostawiając ambitne zadanie zmierzenia się z największą rzeką świata.

KAJAK NA PUSTYNI

25 marca był dniem wodowania kajaka w klubie jachtowym w Fortalizie. Miałem zamiar dopłynąć do ujścia Amazonki wzdłuż brzegów Brazylii, potem przetransportować kajak statkami jak najwyżej w górę rzeki, a następnie spłynąć z powrotem do jej ujścia do Atlantyku. Wiatr wiał z kierunku, który był tak pożądanym przez mnie, gdy płynąłem do Brazy-

lii, wtedy jednak wiało w przeciwną stronę. Teraz ten spóźniony wiatr dopychał mnie do brzegów i nie mogłem oddalić się na bezpieczną głęboką wodę.

LICZBOWE PODSUMOWANIE WYPRAWY:

Odległość w linii prostej między

Dakarem a Acaraū: 3 200 km

Rzeczywista długość trasy: 5 394 km

Średni dystans dobowy: 54 km

Maksymalny dystans dobowy: 126,5 km

Już następnego dnia po wypłynięciu z Fortalizy musiałem zmierzchem strandować (lądować) na plaży w wiosce Praia de Guajeru. Następnego dnia zostałem wypchnięty na głęboką wodę przez życzliwą ludność.



ODPOCZĄĆ OD KAJAKA

Wraz z miejscowym przewodnikiem płyniemy indiańską łodzią z jednego kawałka drewna przez dżunglę rezerwatu Pacaya-Samira. Obaj wiosłujemy pagajami.

W nocy pierwszego kwietnia, podczas snu, wiatr zwiął mnie do brzegu i obudziłem się zalewany falą przybojową przewracającą kajak. Brzeg był gęsto usiany skałami. Na szczęście uszkodzenia kajaka były powierzchowne. Prosiłem napotkanych ludzi o zorganizowanie transportu, by wydostać się z pustyni. Po dwóch dniach podjechał samochód terenowy i, ciągnąc kajak po plaży w czasie odpływu, wyholował mnie do miejsca, które w czasie przypływu zakryła głęboka woda.

Przed zmierzchem zmuszony byłem znowu strandować. Wysoka na 4 metry, stroma fala przybojowa obracała kajak dookoła osi podłużnej. Ja zostałem wymyty z kokpitu, złamałem wiosło i straciłem jego połowę. Fala kręciła mną jak w pralce kilkanaście sekund. Linka asekuracyjna, którą byłem przywiązany do kajaka, wydarła mi ranę na lewym podudziu i prawym łokciu. Byłem znowu na tej samej pustyni.

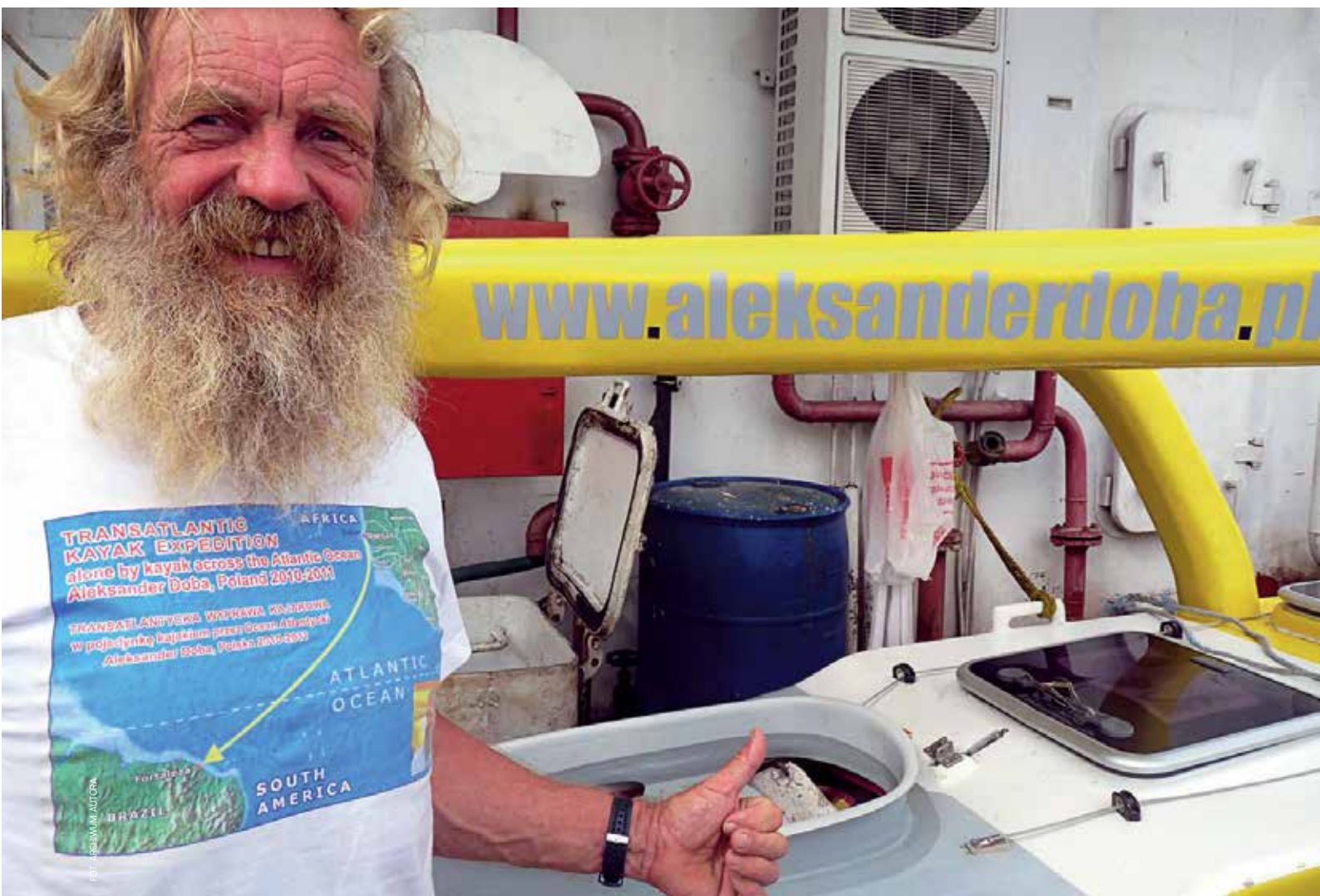
Po kolejnych dwóch dniach udało się zorganizować ekipę miejscowych rybaków, którzy pomogli

mi odpłynąć na głęboką wodę. Tego dnia, a właściwie już w nocy, udało mi się wreszcie przepłynąć za pustynię. Zmienił się charakter wybrzeża, pojawiły się wyspy i półwyspy. Do São Luis udało mi się dopłynąć 14 kwietnia.

W porcie skorzystałem z uprzejmości firmy zajmującej się obsługą kutrów pilotowych. Ich fachowcy naprawili instalację elektryczną oraz uszkodzenia kadłuba. Po czterech dniach zorganizowałem samochód ciężarowy, którym kajak został przewieziony do portu w Belém przy ujściu Amazonki do Atlantyku.

AMAZONKA I RABUSIE

20 kwietnia wypłynąłem wraz z kajakiem na pokładzie katamaranu w górę Amazonki. Po wielu dniach i przesiadkach na trzy kolejne statki, znalazłem się w peruwiańskim Yurimaguas. Tam zostałem z kajak w bezpiecznym miejscu i udałem się na sześciodniową wyprawę w dżunglę amazońską do rezerwatu Pacaya-Samiria.



Splyw Amazonką rozpocząłem 23 maja. Hualagą dopłynąłem do Marańon – właśnie od miejsca połączenia tych dwóch rzek używana jest nazwa Amazonka. 9 czerwca dopłynąłem do Santa Rosy w Peru, a następnego dnia wróciłem do Brazylii.

W niedzielę 19 czerwca pod koniec dnia napadło mnie pięciu bandytów z karabinem, rewolwerem i maczetami. Podczas trzygodzinnego rabunku pozbawili mnie wielu cennych rzeczy, ale zostawili żywego. Tydzień później padłem ofiarą drugiego napadu. Tym razem trzech bandytów, również z karabinem, rewolwerem i maczetami rabowało mnie przez pół godziny. Znowu uszedłem z życiem. Zdecydowałem się jednak przerwać spływ w Manaus, dokąd dopłynąłem 28 czerwca. Zostawiłem kajak w Brazylii i poleciałem do USA. Po półtoramiesięcznym tournée zorganizowanym przez kolegów kajakarzy wróciłem do Polski 21 października 2011 roku.

NIE SKOŃCZYŁEM Z OCEANEM

Teraz zamierzam sprowadzić kajak do Polski, naprawić go i zmodernizować. Chcę odtworzyć zrabowany sprzęt, by odpowiednio przygotować się do następnej wyprawy. Na początku przyszłego roku zamierzam wysłać kajak do Ekwadoru, by podjąć próbę przepłynięcia Pacyfiku w dwóch sezonach. W pierwszym sezonie chciałbym przepłynąć z Ekwadoru do Wysp Galapagos – około 1 060 km. Po kilkudniowej przerwie na uzupełnienie zapasów żywności, chciałbym podjąć próbę przepłynięcia najdłuższego etapu w historii kajakarstwa – z Wysp Galapagos do Markizów Francuskich – około 5 600 km w linii prostej. W następnym sezonie (okres tajfunów mam zamiar spędzić w Polsce) podejmę próbę przepłynięcia z Markizów Francuskich do Australii – około 10 000 km. ○

NIEZATAPIALNY

Podczas wyprawy wzdłuż wybrzeży Brazylii miałem sześć wywrotek. Po obróceniu przez fale przybojowe kajaka do góry dnem, dzięki zamontowanemu pałakom, ten zawsze wracał do normalnej pozycji.



Zatoka Botnicka
KOLOSZY 2011

Krzysztof Paul

PIECHOTA PRZEZ MORZE

Stara kobieta szła szybko po lodzie, od wyspy ku lądowi. Właśnie przed chwilą zeszliśmy na tafłę i Krzysztof popędził w jej kierunku, by zasięgnąć języka.

– No i czego się dowiedziałeś? – Niczego, ona mówi tylko miejscowym dialektem. Pozostała nam więc tylko nawigacja osobista, na którą składały się: mapa z 2003 roku, dwa małe GPS-y i trzy sportowe kompasy do biegów na orientację. Była szansa, że nie zabłądzimy.



Pierwsi rodacy przeszli zamrożoną Zatokę Botnicką w kwietniu 1978 roku. Była to ekipa Szkoły Morskiej ze Szczecina: Stefan Matalewski, studenci Lech Łaski, Mirosław Gendaj i Sławomir Walkowiak oraz ks. prof. Andrzej Woźnicki z Uniwersytetu w San Francisco. Dopłynęli polskim statkiem towarowym do Lulei w Szwecji, gdzie zgłosili się do kapitanatu portu, wyjawiając swój zamiar. Trwał wtedy najbardziej gorący okres zimnej wojny. Dlatego wezwano straż ochrony wybrzeża i opracowano plan przejścia. Przyjęto zasadę, że Polacy nocować będą na z góry zadeklarowanych wysepkach, a każdego wieczoru podczas pobytu na szwedzkich lodach terytorialnych skontroluje ich patrol na skuterach śnieżnych. Każdemu uczestnikowi wyprawy codziennie będzie robione zdjęcie w takim samym ujęciu, aby wykluczyć możliwość podmiany na wykwalifikowanych szpiegów.

Członkowie wyprawy ciągnęli pulki (sanki towarowe) należycie wyposażone w stosowne napitki dla napotykanych gości. Wody przybrzeżne były rozmarznięte, więc Szwedzi na pożegnanie zorganizowali przeprawę aż do lodów fińskich. Tamtej-

NA SZCZYCIE ZATOKI

Jasiek zdobył najwyższe wzniesienie na trasie i bacznie wypatruje zbliżających się statków i otwartej wody.

PRZYTULNA I CICHĄ ŚNIEŻNA ZAGRODA

Nocleg po przejściu drugiego toru wodnego, w miejscu dobrze osłoniętym przed wiatrem.



FOT. JAN FAŚCISZEWSKI

sza policja, oceniając sprzęt wyprawy, zaproponowała wymianę nart na fińskie, ale nasi podziękowali – krajowe, których używali, połamały się dopiero na ostatnich metrach przed metą, po dziesięciu dniach marszu.

Drugi polski zespół, Wojciech Moskał i Wojciech Jazdon, startował z Oulu w Finlandii w marcu 1994 roku. Dla Moskala był to ostatni ostry trening przed marszem na biegun północny (z Markiem Kamińskim, w 1995 r.). Ich trasa biegła prawie po prostej, ale obecność growlerów w połowie drogi spowodowała konieczność zatoczenia sporego łuku ku północy. Growlery to formy lodowe o niewielkiej powierzchni i wysokości do metra, które bardzo utrudniają marsz. Kluczując między nimi, człowiek ciągnący pulki łatwo może się zaklinować, dlatego pola growlerów lepiej omijać.

Dwa lata później, w 1996 roku, Piotr Wiczorek, Radosław Koza i Krzysztof Zalewski wybrali się do Lulei w Szwecji drogą poprzedników, ale słaby lód zarwał się pod prowadzącym i musieli zejść na wyspę Maloren, aby się wysuszyć. Udało im się jednak dokończyć wyprawę.

W POGONI ZA LODEM

W drugiej połowie marca 2011 r. przejścia zamrożonej Zatoki Botnickiej podjął się nasz zespół: Krzysztof Dowgiałło (73 lata), Jan Faściszewski

(23 lata, student geografii Uniwersytetu Gdańskiego), oraz autor niniejszego tekstu (77 lat). Będąc jeszcze w kraju, śledziliśmy w internecie szwedzkie komunikaty lodowe SMHI Iceservice i nie wyglądało to zbyt optymistycznie: wiatr często zmieniał kierunek, a pola lodowe stałe się przemieszczały, otwierając wodę w różnych miejscach zatoki. W 2011 roku zatoka była prawie w całości zamrożona, w tym

LEWA NAPRZÓD

Tu trzeba się tylko trochę rozpędzić. Przejście przez niepewne tory wodne i świeży lód jest bardziej emocjonujące.



FOT. JAN FAŚCISZEWSKI

JAK TO W ŻYCIU

Zadymkę należy
cierpliwie przeczekać,
otrzepać się i iść dalej.



FOT. JAN PASCZEWSKI

**SYBARYCI W OCZEKIWANIU
NA UCZTĘ**

Hurysy odeszły, a my
zostaliśmy na lodzie.

roku, w połowie stycznia, lód pokrywał ją zaledwie w 10%. Rodzaj lodu jest opisany w komunikacie dziennym, ale najważniejsze są jego zmiany i ich dynamika. Kiedy wyruszyliśmy, strefa wolna od lodu parła na północny wschód, dlatego po starcie z fińskiego Oulu wzięliśmy kurs na północ, na stawę Kemi-2 (stawa to nawigacyjny znak nieruchomy, związany z dnem morskim). Przybrzeżne wody Zatoki Botnickiej są raczej płytkie. W północnej jej części są usytuowane cztery duże porty. Stawa

Kemi-2, leżąca w torze podejściowym do fińskiego portu Kemi, jest doskonale widoczna z daleka.

Pierwsze dni nie były łatwe. Było ciepło (od -4 do -2°C), na lodzie leżał miękki i grząski śnieg, więc pulki szły opornie. Sanie kształtem przypominają małą łódkę. Ciągnięcie ich przez taki śnieg jest niczym orka w glinie. Po pięciu dniach marszu nie pokonałszy nawet połowy drogi i poważnie rozważaliśmy rezygnację z trawersu i powrót na brzeg. Staraliśmy się iść możliwie szybko, ale kosztowało nas to wiele sił, na szczęście pogody ducha nie traciłszy.



FOT. JAN PASCZEWSKI

NIEZBĘDNY LUKSUS

Świeże powietrze, chłód i wysiłek powodują wzrost zapotrzebowania na kalorie, odżywiałyśmy się więc porządnie: śniadania mleczne, na obiad mały liofilizat, na kolację duży. To wysuszone jedzenie jest lekkie w transporcie, nieprzesadnie drogie, pyszne i łatwe w przyrządzeniu. Wystarczy tylko zagotować dużo wody, talenty kulinarne są zbędne. W czasie marszu w kieszeniach mieliśmy czekoladę, suszone owoce i kwaskowate cukierki. Spaliśmy wygodnie w dużym dwuosobowym namiocie, który obkładaliśmy bryłkami śniegu dookoła fartucha. Leżeliśmy na dodmuchiwanym materacykach, karimatach, folii izolacyjnej, w puchowych śpiworach. Buty i rękawice kładliśmy pod głowy, a resztę



FOT. JAN PAŚCISZEWSKI

dziennej odzieży na wierzch – w charakterze piernatów. Latarka czołowa na sznurku służyła za żyrandol. Było skromnie, ale elegancko. Taka wygodna waży 25-30 kilogramów, które każdy musi później ciągnąć na pulce.

Na trasie przekraczaliśmy trzy tory wodne, którymi statki i lodolamacze płyną do portów. Po przejściu statku taki tor zamraża przez parę godzin, a nawet dni. Drugi tor nie zdążył całkowicie zamarznąć: wszyscy zmoczyliśmy buty, jeden z nas spodnie do kolan. Jasiek zniszczył nartę, ale dzięki temu starszej części wycieczki było odtąd łatwiej za nim nadążyć. Napotykaliliśmy szczeliny lodowe o sporej szerokości i świeży lód niepokryty jeszcze śniegiem. W tych warunkach nie było jak postawić namiotu, a do tego bardzo mocno wiało. Po pokonaniu drugiego toru wodnego, dopiero przed północą znaleźliśmy nieco osłonięte miejsce na grubym lodzie. Przy pomocy łopatkę wyrównaliśmy teren i w końcu rozbiliśmy namiot, chociaż trochę to trwało.

WITAJ LULEO

Później wszystko zaczęło się zmieniać na lepsze – przyszedł ostry mróz, który nocą osiągał -20°C i wszystko pięknie zamarzło. Przez ostatnie dni wyprawy pokonywaliśmy duże odległości. Nie zostawialiśmy za sobą żadnego śladu, mknąc po lodowej skorupie.

W obawie przed otwartą wodą szliśmy między szwedzkimi wyspami, powyżej Maloren. Wyspy są piękne, razem tworzą park krajobrazowy. Siódmego dnia marszu, podczas pokonywania torosów lodowych dopadła nas zadyмка. Po błękitnym niebie pędziła w naszym kierunku ciemna chmura w kształcie wielkiego kowadła. Kiedy nas dopadła, znaleźliśmy się w wirze powietrznym wypełnionym drobnym śniegiem. Zawierucha ustała dopiero po trzech kwadransach.

Zbliżając się do brzegu, już z oddali widzieliśmy licznych narciarzy ciągniętych przez wyścigowe charty, kitesurferów, motolotniarzy. W ten sposób Szwedzi z północy kraju spędzają swoje sobotnie popołudnia, w chłodzie, w ruchu i na świeżym powietrzu. Do lądu doszliśmy po południu, w dziewiątym dniu marszu, po pokonaniu 190 kilometrów.

Weszliśmy cztery kilometry w głąb Gammelstadsfjord. Luleę było widać jak na dłoni: fabryki, za nimi port. Przy przeciwległym brzegu przebiegał się ku zatoce statek.

Krzysztof poznał miłych ludzi, którzy poczęstowali nas kolacją i przenocowali w przedsionku sauny. Już spaliśmy, kiedy zapukał do nas sąsiad gospodarzy, naczelnik poczty w Lulei, który „przyszedł sobie obejrzeć Polaków”. Zamieniliśmy kilka zdań i wreszcie padło oczywiste pytanie: „Ludzie, ale po co?”. ○

ZIEMIA NA HORYZONCIE!
Przed nami wypatrywany szwedzki brzeg.
Za nami 190 kilometrów wędrówki.



NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady



Tam, gdzie życie jest piękne

Toskania to jeden z najchętniej odwiedzanych regionów Włoch. Podziwiać tu można malownicze krajobrazy oraz urokliwe miasteczka, które niemal nie zmieniły swojego wyglądu od kilkuset lat. Jednym z takich miejsc jest Arezzo, położone na stromym wzgórzu, na wysokości prawie 300 metrów n.p.m. U podnóża miasta wije się rzeka Arno.

To tu rozgrywała się część oscarowego filmu Roberta Benigniego „Życie jest piękne”.

Najbardziej charakterystycznym miejscem Arezzo jest Piazza Grande, który ze względu na położenie miasta, jest pochyły. Na placu przez cały rok odbywają się festyny, m. in. Giostra del Saracino, czyli średniowieczny turniej. W każdy pierwszy weekend miesiąca ma miejsce targ staroci i antyków, na który z całego kraju zjeżdżają handlarze i kupujący.

Przy samym placu znajduje się, uznawany za jeden z najpiękniejszych w Toskanii, kościół Santa Maria della Pieve. Warto również zobaczyć Il Palazzo dei Priori, w którym dzisiaj siedzibę ma Urząd Miasta oraz gotycką Katedrę di San Donato, gdzie podziwiać można fresk „Maria Magdalena” autorstwa Piera della Franceski.



43°28' N 11°53' E

Arezzo położone jest 75 km na południe od Florencji.



VISIT
NORWAY
.PL

ZORZA NAD NORWEGIĄ

Tegoroczne zimowe „burze słoneczne” są najsilniejsze od 11 lat. Rozbłyski na nocnym niebie spowodowane są wyjątkową aktywnością cząstek wyrzucanych przez Słońce. Gdy ich strumień zderzy się z górną warstwą atmosfery, na niebie tworzy się okrąg w postaci zorzy polarnej.

Zjawisko to powstaje 100 kilometrów nad Ziemią. Zwykle widoczne jest w miejscach położonych najbliżej bieguna, jednak tej zimy z powodu wyjątkowej intensywności mogli obserwować je mieszkańcy rejonów leżących nawet na południu Skandynawii: w Stavanger czy Oslo.

Oglądanie zórz mogą zakłócać jedynie chmury lub padający śnieg. Tam, gdzie niebo jest czyste, da się obserwować ten niezwykle spektakl. Każdy rozbłysk jest wyjątkowy i niepowtarzalny, a efekty świetlne widoczne w różnych rejonach kraju mogą się od siebie różnić.

Wybuchy masy słonecznej i związane z tym powstawanie zórz polarnych zapowiadają astrologowie również w najbliższych latach. Zimą 2013 roku można spodziewać się najbardziej spektakularnych zórz od 50 lat. Tym, którzy chcą zobaczyć to zjawisko, polecamy wycieczki do Norwegii. Najbardziej pewnym miejscem do zaobserwowania „nordllys” (po norwesku: zorza) są okolice Tromsø, Lofotów oraz cała północna Norwegia.



69°40' N 18°55' E

350 kilometrów za kołem polarnym
5 samolotów z Oslo dziennie

www.kudowa.pl



KOTLINA NIETYPOWYCH ATRAKCJI

i XIX w. z odnalezionych szczątków ofiar wojen i epidemii cholery.

W Czermej zobaczyć można również budo-
waną w latach 1904-24 przez Frantiska Stepana
szopkę składającą się z 250 ruchomych figurek
z drzewa lipowego oraz rzeźbione przez kolejne
osiem lat drewniane organy z 270 piszczałkami.

Dzieci na pewno zainteresują się też kudow-
skim Muzeum Zabawek oraz pierwszym w Polsce Mu-
zeum... Żaby, w którym zebrano parę tysięcy żabich figurek
i eksponatów z ponad 20 krajów.

W przygranicznej Czermej – niegdyś wsi, a obecnie
dzielnicy Kudowy-Zdroju – znajduje się jedyna
w Polsce i jedna z trzech w Europie Kaplica Cza-
szek. Ściany i sufit kaplicy zostały wyłożone 3 tys. czaszek
i kości ludzkich, których 30 tys. znajduje się także w podziem-
nej krypcie. Kaplica została zbudowana na przełomie XVIII

 50°27' N 16°14' E

38 km na zachód od Kłodzka

Szwajcaria Gruyères

www.la-gruyere.ch

Ser z czekoladą

Szwajcaria słynie z żółtego sera,
czekolady, banków i zegarków. Dla
bliższego poznania tych pierw-
szych, bazujących na alpejskim mleku,
warto wybrać się do Gruyères.

Mieści się tu muzeum sera gruyère
AOC – produkowanego według ści-
śle określonych reguł. W la Maison du

Gruyère zobaczyć
można, jak 35-ki-
logramowe krążki
sera, powstające
z 400 litrów mleka
każdy, są pieczo-
łowicie obracane
i polewane soloną
wodą. W lo-
kalnej restau-
racji spróbo-
wać można
potraw z tego
sera, na przykład słynnego fondue.

Na zwolenników wykwintnych
słodczyz czek, zaledwie 6 km da-
lej, Maison Cailler – fabryka naj-
starszej szwajcarskiej czekolady,
z historią sięgającą 1819 roku.
Można tam wziąć udział w warsz-
tatach, podczas których uczestnicy



w praktyczny sposób poznają proces
wyrobu czekolady, przygotowując dla
siebie pralinki o ulubionym smaku.

 46°35' N 7°04' E

ok. 35 km na południe
od Fryburga



ARCHITEKTONICZNY REZERWAT

Nesebyr to jedno z najpiękniejszych miejsc wschodniej Bułgarii. Położone nad Morzem Czarnym miasto założone przez Traków wpisane jest na listę światowego dziedzictwa kultury UNESCO i często nazywa-

ne „Perłą Bułgarii” lub „Perłą Morza Czarnego”. Od 1956 r. to rezerwat architektoniczny i archeologiczny.

W mieście dominują piętrowe budynki na kamiennych posadach z charakterystycznymi drewnianymi nadbudówkami i czerwonymi dachami, położone przy wąskich, krętych uliczkach. Nesebyr leży na niewielkim skalistym półwyspie, połączonym z lądem przesmykiem, na którym znajduje się zabytkowy XVIII-wieczny wiatrak. Do miasta prowadzi brama obronna, a na wybrzeżu i w porcie zachowały się pozostałości greckich, rzymskich i bizantyjskich umocnień sprzed 1500 lat, kiedy to miasto było w całości obwarowane.

Z wielu świątyń, jakie tu powstały, przetrwało kilka zrujnowanych budowli. Do najciekawszych należy cerkiew św. Jana Aliturgitosa z XIV wieku. Interesująca jest również cerkiew św. Apostołów, z której dzisiaj pozostała jedna nawa i część kolumnady. Najcenniejszą świątynią w Nesebyrze jest cerkiew Chrystusa Pantokratora z XIII w., która uznawana jest za jeden z najpiękniejszych zabytków Bułgarii.

W Nesebyrze warto zobaczyć także przystań rybacką i marinę oraz amfiteatr i muzeum archeologiczne.

 42°39' N 27°44' E

Nesebyr leży nad Morzem Czarnym, około 100 km na południe od Warny.



FOT. SHUTTERSTOCK

Irlandia Moherowe Klify



 52°56' N 9°28' W

ok. 60 km na północny zachód od Shannon, do którego można dolecieć m.in. tanimi liniami z Wrocławia.

W zachodniej części Irlandii, w hrabstwie Clare, znajduje się jeden z 28 finalistów konkursu 7 Nowych Cudów Natury – Moherowe Klify. Zbudowane z łupków i piaskowców, pionowe ściany wznoszą się nad oceanem na wysokość od 120 do 214 m wzdłuż 8 km wybrzeża. Można przejść się skrajem urwiska lub podziwiać skały z dołu, płynąc stateczkiem.

Moherowe Klify to jedna z głównych atrakcji turystycznych Irlandii – co roku odwiedza je blisko milion turystów. Do ich obsługi stworzono schowane niemal całkowicie pod ziemią nowoczesne i przyjazne naturze centrum turystyczne. Klify Moheru wraz z pobliskim płaskowyżem Burren o unikalnym krajobrazie krasowym należą do Geoparków UNESCO. Klifowe skały są także terenami lęgowymi ponad 30 tys. par ptaków morskich, w tym barwnych maskonurów.



Stolica Irlandii jest często wybierana na krótki, weekendowy wypad. Najczęściej kojarzona jest ze średniowieczną księgą „Book of Kells”, pisarzem Jamesem Joyce’em i piwem Guinness. Turyści z wielu krajów chętnie decydują się na krótki przyjazd do Dublina przy okazji święta patrona Irlandii, św. Patryka. Cel wizyty to obejrzeć paradę w centrum miasta, przeżyć świąteczny nastrój w dublińskim pubie i odwiedzić kilka ważnych zabytków kultury.



hwbc.ie
77-50

ŚWIĘTO
ZIELONEJ
WYSPY

Marek Grubka



FOT. MARGONIEŚK

CUDO NA SMYCZY

Dawni władcy irlandzcy umieszczali w herbach, obok koniczyny i harfy, wizerunek wilczarza irlandzkiego, którego określano słowami: „Łagodny, gdy głaskany, dziki, gdy sprowokowany”.



FOT. SHUTTERSTOCK

Św. Patryk urodził się ok. 385 r. na terytorium rzymskiej części Brytanii, na terenach dzisiejszej Walii. Z pochodzenia był Brytem, nie Irlandczykiem. Pochodził z dość zamożnej rodziny, co więcej – kapłańskiej. Jego ojciec był diakonem, a dziadek kapłanem Kościoła katolickiego (celibat obowiązuje w Kościele katolickim od XII w.). Jako 16-letni młodzieniec, Patryk został porwany przez irlandzkich piratów i sprzedany w niewolę. Na zachodnim wybrzeżu Irlandii, w okolicach góry Croagh, wypasał bydło i owce. Po ponad sześciu latach, kiedy tylko nadarzyła się okazja, uciekł z niewoli. Przebywał w Galii, a po powrocie w rodzinne strony został najpierw wyświęcony na kapłana, a następnie na biskupa. W 432 r. ponownie przybył do Irlandii, już jako biskup, i rozpoczął misję ewangelizacyjną. Chrzcił, zakładał wspólnoty kościelne i klasztorne. Dał podwaliny późniejszym zgromadzeniom irlandzko-szkockim, których mnisi przepisywali księgi, ocalając kulturę Europy wieków średnich. Przyjmuje się, że zmarł 17 marca 461 r. Stał się głównym patronem religijnej Irlandii, podobnie jak św. Wojciech patro-

nem Polski.

ŚWIĘTY Z SHAMROCKIEM

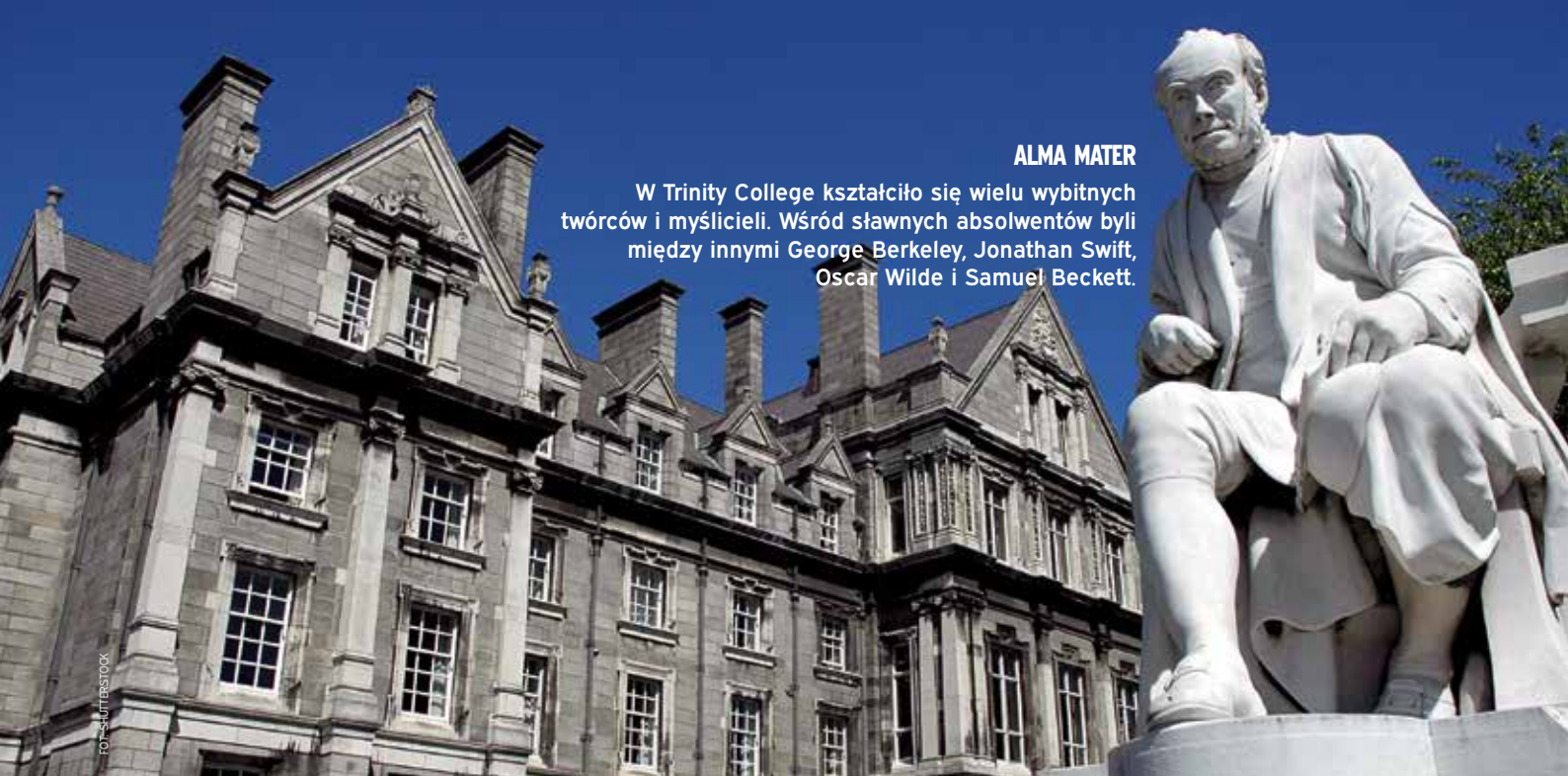
Dzień św. Patryka obchodzony jest w rocznicę jego śmierci. Festiwal ku jego czci jest wydarzeniem religijno-kulturowym. W Irlandii do stałych elementów tego świątecznego dnia należy kolorowa parada, która przechodzi głównymi ulicami Dublina. Rozpoczyna się ona w południowej części miasta, niedaleko ulicy Parnell. Wyrusza w samo południe i kieruje się poprzez O’Connell Street ku rzece Liffey i północnej części stolicy. W paradzie uczestniczą różne grupy, stowarzyszenia, zespoły sportowe, taneczne, muzyczne, szkoły i środowiska. Spotkać można mityczne stwory, karykatury i kopie bohaterów popkultury. Po przekroczeniu rzeki pochód przechodzi obok Trinity College, Christ Church i skręca w stronę katedry św. Patryka, gdzie się kończy.

Parada jest organizowana w wielu miejscowościach Irlandii oraz w różnych krajach świata. Wszędzie tam, gdzie żyją potomkowie irlandzkich emigrantów, ta tradycja jest bardzo silna. Tego dnia przywdziewa się zielone kolory. Od ubrań począwszy, a na wielkich zielonych kapeluszach skończywszy. Oprócz tego rozbrzmiewa irlandzka muzyka. Czasem barwi się piwo na zielony kolor. To jednak bardzo amerykański zwyczaj. W Dublinie trudno je znaleźć. Zielona wyspa, zielona trawa, ale piwo ciemnobrazowe.

Jednym z atrybutów św. Patryka jest tajemniczy shamrock, czyli zielona trójlistna koniczynka. Przy jej pomocy w zamierzchłej przeszłości święty tłumaczył istotę Trójcy Świętej. Dla współczesnych jest to po trosze symbol religijny



FOT. MARGONIEŚK



ALMA MATER

W Trinity College kształciło się wielu wybitnych twórców i myślicieli. Wśród sławnych absolwentów byli między innymi George Berkeley, Jonathan Swift, Oscar Wilde i Samuel Beckett.

i kulturowo-handlowy. Tego dnia, podczas parady i w pubie, można zauważyć koniczynkę jako nieodłączny element ubioru świętujących ludzi. Na co dzień jest symbolem irlandzkich linii lotniczych i umieszczana jest na wielu turystycznych pamiątkach.

MUST SEE

Będąc w Dublinie, warto pospacerować i dotrzeć przynajmniej do kilku miejsc. Pierwszym obowiązkowym punktem zwiedzania jest Trinity College, założony w 1592 r. przez królową Elżbietę I. To najstarszy uniwersytet Irlandii. We wnętrzu jego starej biblioteki znajduje się „Book of Kells”, czyli bogato ilustrowany manuskrypt powstały ok. 800 r., który jest jednym z najbardziej znanych zabytków kultury na świecie. Opracowany został przez irlandzkich mnichów. Przyjmuje się, że prace nad nim rozpoczęto w klasztorze na szkockiej wyspie Iona. Ze względu na najazdy wikingów mnisi przenieśli się do Kells i tutaj księga została ukończona. Opracowanie, liczące ponad 600 stron, jest zbiorem czterech ewangelii, bogato ilustrowanym i zdobionym. W późniejszych wiekach zostało podzielone na cztery mniejsze księgi, z których dwie są prezentowane na wystawie w bibliotece Trinity College, przyciągając tłumy zwiedzających z całego świata. Po obejrzeniu księgi koniecznie trzeba zobaczyć Wielką Salę starej biblioteki uniwersyteckiej, w której przechowywane jest ok. 200 tysięcy starych woluminów.

Zamek w Dublinie (Dublin Castle) został wybudowany przez Normanów na początku XIII wieku, w miejscu dawnej siedziby wikingów. Przez ponad 700 lat był symbolem angielskiej dominacji w Irlandii. To twierdza, więzienie, skarbnica, gmach sądów i miejsce administracji. Aż do 1922 r. był miejscem sprawowania brytyjskiej władzy nad krajem. Obecnie odbywają się w nim ważne wydarzenia państwowe. To tu zaprzysiężani są prezydenci Irlandii.

W pobliżu zamku dublińskiego mieści się Chester Beatty Library, uznawane za jedno z najlepszych muzeów Europy. Zgromadzono w nim olbrzymie zbiory sztuki z Azji, północnej Afryki

GINĄCE ZAWODY W UE: CELNICY

Neoklasycystyczny budynek The Custom House powstał w XVIII wieku i był ówczesnie największą wolno stojącą budowlą w Dublinie. Pierwotnie pełnił funkcję komory celnej dla dublińskiego portu.





FOT. MAREK GRUBKA

STRACH SIĘ NIE BAĆ

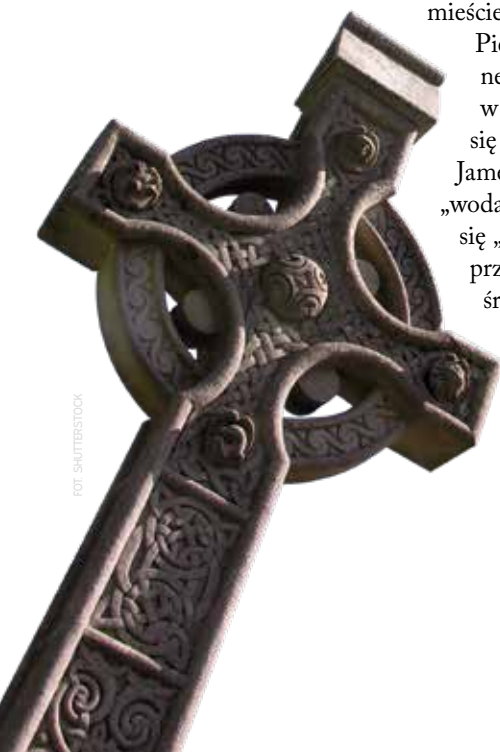
Na każdej butelce whiskey Jameson umieszczone jest motto rodziny Jamesonów: SINE METU – bez strachu.

i Europy, które Irlandii przekazał prywatny kolekcjoner – Alfred Chester Beatty. Na koneserów starych manuskryptów czeka tutaj fragment Ewangelii św. Jana z II w. ze słowami wypowiedzianymi przez Chrystusa na krzyżu do swojej Matki. Na wystawie jest wiele fragmentów ksiąg biblijnych z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Uwagę zwracają również bogate księgozbiory religii muzułmańskiej i buddyjskiej.

SLAINTE! [CZYT. SŁONCZE] NA ZDROWIE!

Wśród ciekawych miejsc w Dublinie dwa związane są z trunkami, które biorąc początek w tym mieście, zawędrowały aż na krańce świata.

Pierwszym z nich jest Guinness. To słynne piwo powstało w 1759 r. właśnie tutaj, w Dublinie. Muzeum Guinnessa znajduje się obok browaru. Kolejnym trunkiem jest Jameson. W języku irlandzkim whiskey to „woda życia” (gaelickie uisge beatha wymawia się „iszkebacha”). Napój wynaleziony został przez irlandzkich mnichów w wiekach średnich. Od 1780 r. produkowany jest w Dublinie w destylarni założonej przez Johna Jamesona. Niedaleko od centrum, w Smithfield, można prześledzić proces powstawania tego tak ważnego dla Irlandczyków trunku.



FOT. SHUTTERSTOCK

Kolor ma podobny do starodawnego trójniaka, polskiego miodu pitnego.

Będąc w Dublinie, nie sposób jest nie wstąpić przynajmniej do jednego z licznych irlandzkich pubów. Może to być któryś z tych najstarszych lub najbardziej znanych. Na pewno napijemy się w nim dobrego piwa i posłuchamy muzyki na żywo. Temple Bar to dzielnica i zarazem jeden z najbardziej znanych pubów. W okolicy znajduje się kilkadziesiąt restauracji i pubów. Jeśli ktoś poszukuje miejsca małego, niekoniecznie najchętniej odwiedzanego przez turystów, to warto



FOT. MAREK GRUBKA

pospacerować do Cobblestone Bar w dzielnicy Smithfield. Stary wystrój i niewielkie wnętrza ujmują urokiem. Przy okrągłym stole spotkać można muzyków, którzy wymieniają się różnymi melodiami. Można się dosiąść i pograć razem z nimi.

OD DUBLINA DO LUBLINA

W wolnej chwili można wybrać się do Glendalough, czyli do Doliny Dwóch Jezior, urokliwego miejsca pod Dublinem. To tam św. Kewin miał swoją pustelnię i założył klasztor. Dobrze zachowany mały kościół z VII wieku pozwala zapoznać się z tradycją życia zakonnego w Irlandii. Obok budowli znajduje się wysoka wieża i charakterystyczny krzyż irlandzki z kołem. Spacerując, można pomyśleć o przeszłych wiekach i odpocząć od gwaru miasta. Warto też dotrzeć do malowniczego Howth z półwyspem będącym głównym miejscem spacerów mieszkańców Dublina. Swoim klimatem przypomina kaszubski Puck. Przechadzając się po otaczających półwysp klifach, możemy pooddychać morskim powietrzem. Z pewnością spotkamy tu rodaków z Polski, nie tylko podziwiających klify, ale i wpatrujących się w odległy horyzont z dziwną tęsknotą w oczach. ☉

Dzień św. Patryka przypada 17 marca, w tym roku w sobotę. Festiwal trwa od 16 do 19 marca.

Program można znaleźć pod adresem:

www.stpatricksfestival.ie

www.discoverireland.com

Finnlines

a Grimaldi Group company

Finnlines Polska Sp. z o.o.
Al. Solidarności 1C
81-336 Gdynia

Serwis promowy:
Gdynia -> Helsinki - 21h
Gdynia -> Rostock - 15h
3 odejścia w tygodniu



**Dodatkowe informacje
dla pasażerów:**
Gdynia, ul. Polska 1
passenger.pl@finnlines.com
tel. +48 58 627 4167, 4177



Ładunki:

- naczepy,
- samochody ciężarowe,
- ładunki ponadgabarytowe,
- drobica,
- kontenery



www.finnlines.com

Marketing: sales.pl@finnlines.com
Bukowanie: customer.service.pl@finnlines.com



Trudno sobie wyobrazić kawałek świata, gdzie nie przywitałby nas wyryty na drzewie lub kamieniu napis: „Byłem tu. Tony Halik”

EGZOTYCZNE PEREŁKI

Dziko tam może nie będzie, ale przynajmniej turystów mało – roilem sobie w swym małym mózdzku, jadąc kilkanaście lat temu do Wietnamu. Złudzenia straciłem pierwszego dnia. Wpadłem po uszy w sidła wielkiego turystycznego przemysłu dla „niezależnych podróżników”. Wszelki opór był bezcelowy.

Oczywiście mogłem nie korzystać z lepszych autobusów, tylko jeździć znacznie gorszymi, ale za to ciut tańszymi, mogłem nie spać w hotelach, gdzie był choć jeden biały, nie chodzić do knajp, w których ich noga postąpiła, ale nie mogłem zignorować jednego. Już wówczas, ponad dekadę temu, na identyczny pomysł – niezorgani-

zowanej podróży do Wietnamu – wpadały dwa miliony ludzi rocznie. Dzikości było tam tyle, co w moim warzywniaku naprzeciwko. I nawet owoce podobne.

Każdy kto wyjechał poza rogatki swego miasta wie, że trudno sobie wyobrazić kawałek świata, gdzie nie przywitałaby nas polska mowa i wyryty na drzewie lub kamieniu znajomy napis: „Byłem tu. Tony Halik”. Cóż więc robić ma spragniony egzotyki i niewygód warszawski m i e s z - ście może własno-kajakiem, n a r t a c h

się lotnią z Pika Komuni-zmu czy jak to się tam teraz nazywa, może... No dobra, ale jeśli nie chciałby się jednak natychmiast zabić? Wtedy musi przekuć wadę na zaletę.

Skoro to, co jawi się egzotyką, już dawno nią nie jest, bo, jak niesie pieśń: „Afryka dzika, dawno odkryta, Chałupy welcome to”, to może egzotyki prawdziwej poszukajmy bliżej? A jeśli rzeczywiście najciemniej pod latarnią, to może w poszukiwaniu ludów o dziw-



nych obyczajach i wyszukanej kuchni coś przeoczyliśmy? Na przykład Tczew?

Rzut oka na Wikipedię, póki jeszcze ACTA korzystać z niej nie zabraniają, daje obraz cokolwiek niepełny: Kaszubi, Krzyżacy, czerwona cegła, nuda. Słowem, dobrowolnie jechać tam nie ma sensu. Toteż i ja nie bywałem w Tczewie dobrowolnie, jeno przejazdem, w ramach korzystania z usług PKP (to jest dopiero egzotyka, ale w trosce o nerwy czytelników-pasażerów nie będę się naigrywał). Dzięki tym podróżom jeszcze kilka lat temu na dworcu kolejowym miałem niezwykłą przyjemność skosztowania „bułki z grzybem”. To znaczy trochę konfabuluję, przyjemność była zwykła – ot, zapiekanka z pieczarkami, ale całkiem niezwykła nazwa owego specjału wzbudzała tak dziką radość towarzyski mej podróży, że oprzeć się nie mogłem. Zarówno towarzysze, jak i bułce z grzybem.

Myliłby się jednak kto pomyślałby, iż wszelkie niezwykłości Tczewa ulokowane są (a może były – zweryfikowanie tego, to zadanie dla co odważniejszych podróżników) na dworcu kolejowym. Otóż jeden z moich przyjaciół, podczas wspólnej podróży przez Tczew w melancholię taką popadł, iż trzeba mu było napój rozweselający pilnie podać. Tak oto zawędrowaliśmy do baru „Roland”.

Miejsce to godne jest pióra znacznie lepszego niż moje, tu przydałby się jakiś kronikarz XIX-wiecznego Londynu tudzież bywalec tamtejszych klubów dla dżentelmenów, których „Roland” był (albo i jest) następcą

co się zowie. Skromny rozmiarem, gościł wyłącznie bywalców płci brzydkiej, a rzut oka na klientelę każe mi rzec, iż wręcz bardzo brzydkiej. „Roland” daleki był od epatowania szerokim wyborem trunków, oj jak daleki! Kolega się rozweselił przy produkcie pochodzącym z rektyfikacji soku z ziemniaka, popił kolejnym i w zasadzie był gotów. Drugi z przyjaciół – zawsze się taka wydra znajduje – zażyczył sobie jednak soku z owocu. I tu rolandowski barman znaleźć się potrafił i otworzył koledze mirindę oraz oczy, albowiem ten do owej chwili sok wyobrażał sobie cokolwiek inaczej.

Nie wiem czy tczewski przybytek bardziej przypominał mi lokal w białoruskim Szklowie – miasteczku rodzinnym prezidenta Łukaszenki, gdzie w knajpianym menu figurowały, Państwo pozwolą, że przytoczę w całości: wódka, napitok, ogórek (nawet herbaty nie było, ale pani dała się ubłagać i zrobiła mi swoją, prywatną) czy też bardziej „Roland” przypominał mi Bar Alkoholowy „Perełka” z mojego rodzinnego Świecia nad Wisłą. To na drzwiach tejże „Perełki” przez lata wisiał kuszący anons „But damski lewy do odebrania”.

I Państwo pozwolą na dygresję bez związku z podróżami, ale nazwać absolutną mordownię „Perełka” to wymagało jednak pewnej fantazji, nieprawdaż? Dzisiaj fantazji brak, więc mordownie dla dorosłych noszą identyczne nazwy co mordownie dla dzieci, o czym przekonałem się, gdy moja córka dostała zaproszenie na siódme

urodziny swej koleżanki z klasy do miejsca zabaw (znacie to Państwo: zjeżdźalnie, kulki, ogłuszający wrzask, unoszący się w powietrzu zapach dziecięcego potu i kurzu) o jakże swojskiej nazwie „Kolorado”. Aż dziw, że nie podają tam gówniarzom whisky.

Rzewne te wspomnienia przychodzą mi do głowy na myśl o egzotyce prawdziwej, nieopisanej w beadederach, egzotyce nieoczywistej, takiej jaką był dla cudzoziemców warszawski bazar na Stadionie Dziesięciolecia. Byłem skądinąd jednym z tych, którzy uwielbiali tam chodzić nie tylko z gośćmi z zagranicy, którym trzeba było kawałek polskiej drogi do kapitalizmu pokazać. Mówiąc szczerze, raz na pół roku lubiłem tam łązić zupełnie po nic, ot tak, przejść się po alejkach, pooglądać ludzi.

Kto tam nie gościł – nie zrozumie, że było to zanurzenie w zupełnie inny świat, rozdrzany, rozemocjonowany, pełen nieskrywanej dzikości w pogoni za pieniądzem. To nie armerkie potrawy, mieszanina wietnamskiego i gruzińskiego, twarze z Etiopii czy Bułgarii nadawały temu miejscu jego niezapomniany klimat, to raczej to samo uczucie, które towarzyszyło bohaterom „Ziemi obiecanej”.

Tak, tak, prawdziwa egzotyka czai się za drzwiami. Zwykle zresztą niezauważana, pomijana. I dlatego tym cenniejsza, bo nasza, prywatna wręcz, patriotyczna przy tym. Dlatego Państwo pozwolą, że wzniosę pewien toast. Wenecja nocą? Tak, ale tylko koło Żnina. Tam nawet Tony Halik nie zawitał.





Monika Witkowska

I JAK TU NIE KOCHAĆ CZUKCZÓW?

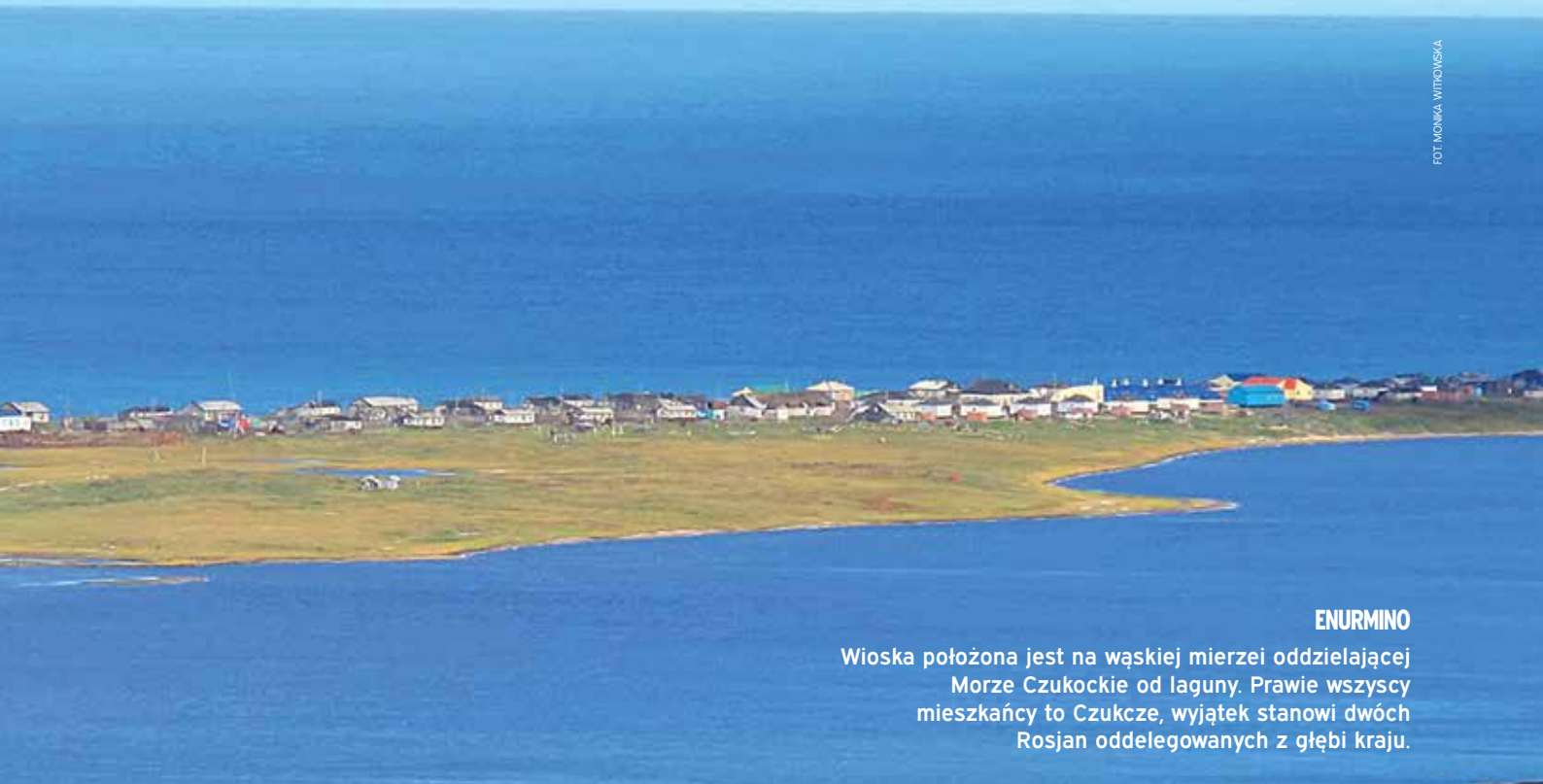


Do położonego na północy Czukotki Enurmino nie prowadzą żadne drogi, a statek z zaopatrzeniem do jedyne go sklepu do pływa tylko raz w roku. Życie mieszkańców toczy się wokół polowań – na foki, morsy i wieloryby.

Przypływamy do Enurmino późną nocą. Zmęczeni, bo żeglowanie po Oceanie Arktycznym w dwie osoby i na małym jachcie potrafi dać nieźle w kość. Rzucamy kotwicę i od razu kładziemy się na koje, ciesząc się, że wreszcie się wyśpimy, choćby i do południa.

Płonne nadzieje. Wczesnym rankiem, około szóstej, Börje, mój szwedzki kompan, potrząsa moim ramieniem. – *Chyba musisz wstać. Mamy gości!* Mruczając pod nosem niezbyt miłe słowa, wystawiam na pokład głowę i... chyba wciąż śnię! Przy burcie aż roi się od małych łódek, w których siedzą stłoczeni miejscowi rybacy ze swoimi żonami i dziećmi. Nigdy w życiu nie widzieli jachtu, postanowili więc przyjrzeć się mu z bliska.

Trochę trudno nam się dogadać, bo starsi nie są bardzo znają rosyjski. W końcu ustalamy tryb komunikacji. Ja mówię po rosyjsku, rosły Andriej



ENURMINO

Wioska położona jest na wąskiej mierzei oddzielającej Morze Czukockie od laguny. Prawie wszyscy mieszkańcy to Czukczowie, wyjątek stanowi dwóch Rosjan oddelegowanych z głębi kraju.

PŁYNĄ GOŚCIE, PŁYNĄ!

Dla miejscowych byliśmy pierwszymi cudzoziemcami, jakich widzieli w swoim życiu. Wszyscy chcieli nas odwiedzić i poznać.

tłumaczy na dialekt czukczeński, ja w tym czasie przekładam naszą rozmowę na angielski Börjemu. Swoją drogą strasznie trudny ten czukczeński – wyjątkowo dużo w nim dziwnych, gardłowych głosek. Kilku słów jednak się uczę: „dzień dobry” to jetti (zapis fonetyczny), „do widzenia” – attaw,

jednak już przy „na zdrowie!” (jako toast) – nymeśł-eł-kytwarkynietyk, dochodzę do wniosku, że chyba nie mam zdolności językowych.

PROHIBICJA PO ROSYJSKU

Dawniej w zamieszkałym przez około trzysta osób Enurmino żyło się lepiej. Ludzie z rozrzewnieniem wspominają czasy Związku Radzieckiego, gdy była praca, bo był zakład szyjący ubrania ze skór. Wraz z pierestrojką upadł system zamówień rządowych, zakład przestał istnieć, a że w okolicy, poza tundrą i Morzem Czukockim, nie ma kompletnie nic, to teraz wszyscy mężczyźni są albo rybakami, albo myśliwymi. Najwyżej w hierarchii stoją „myśliwi etatowi” – grupa młodych chłopców, od których zależy to, czy zimą ludzie nie będą głodować. Polują na fokę, morsa i wieloryby, przy czym, jeśli chodzi o te ostatnie, Enurmino ma przyznany limit 6 wielorybów rocznie. W polowaniu uczestniczy 30 osób – pięć łodzi z sześciuosobowymi załogami. Cała wioska czeka w napięciu, czy połów się uda, a potem mięso i tłuszcz zdobycy dzieli się pomiędzy wszystkich mieszkańców. Najlepszy kawałek przypada myśliwemu, który celnie wbił harpun.

W sklepie można dostać chleb, puszki ze szprotami i niewiele więcej. Chcemy z Börje kupić cukierki dla dzieci, ale żadnych słodyczy nie ma. Pół-



NASZA MAŁA „ANNA”

Niewielki jacht (10,5 m długości, 80 m² żagli) doskonale spisywał się na arktycznych wodach, nawet przy bardzo silnych wiatrach.



FOT. MONIKA WITKOWSKA



FOT. MONIKA WITKOWSKA

NIEDŹWIEDZIA PORCJA

Kawałek z wyrzuconego na brzeg wieloryba Czukczycy wykorzystali na pokarm dla psów. Resztą zajęły się w nocy niedźwiedzie.

ki wypełniają pasty do zębów Colgate i elegancko opakowana herbata Earl Grey. Miejscowym takie produkty nie są potrzebne, a poza tym – są za drogie.

Ku naszemu zdziwieniu w sklepie nie ma alkoholu. – *Prohibicja!* – wzdychają Czukczycy. Wczoraj jednak konspiracyjnie donoszą. – *Tak naprawdę, to w sklepie jest trochę zaplombowanych skrzynek. Nasz wioskowy milicjant powiedział, że jak dla was, da się to jakoś zorganizować. Normalna cena za pół litra wynosi w przeliczeniu 9 dolarów, ale że trzeba zdjąć plomby, to razy dwa.*

Rozważamy z Börje ten temat, bo wiadomo: w Rosji bez wódki „nie razbieriesz”. Trochę alkoholu na jachcie mamy, ale ze względu na licznych gości, z przerażeniem obserwujemy, jak kurczą się te zapasy. Po kilku „stakanczikach” (bo to prawda, że wódkę pije się tam ze szklanek) ośmielam się zadać nurtujące mnie pytanie: – *Jak Czukczycy reagują na dowcipy na swój temat?* Śmieją się: – *My się nie obrażamy. Za chwilę resztą opowiadają o tym, jak to Czukczycy zabrał na polowanie Rosjanina. Czukczycy rzucił kamieniem w barłóg i wyskoczył wściekły niedźwiedź. Myśliwi w nogi, zwierzę z nimi. Przebiegli już kilka kilometrów, kiedy Rosjanin przypomniał sobie, że przecież ma strzelbę.*

Wypalił, trafił, niedźwiedź padł. Czukczycy wściekły krzyczy na niego: – *Ruski myśliwy – kiepski myśliwy! A za czym ty ubił niedźwiedzia? Należało doma dobiec, a teraz kto go taszczyć będzie?*

Na tutejsze niedźwiedzie Czukczycy jednak nie polują. – *Za specjalną zgodą trochę dalej na północ zabija się polarne. Ale my tu mamy brunatne i, jak wierzymy, to zaklęte w taką postać dusze myśliwych, naszych przodków – tłumacza.*

TYDZIEŃ POD ŚNIEGIEM

Niedźwiedzi w okolicach Enurmino jest mnóstwo. Świadczą o tym ich ślady. Najbliższe mamy zaledwie 50 metrów od jachtu, na piaszczystej plaży. Każdej nocy niedźwiedzie przychodzą wyjadać wnętrzności dwóch wyrzuconych na brzeg wielorybów. Skąd wieloryby znalazły się na plaży, Czukczycy nie wiedzą. Nie ruszają ich, bo jedzą tylko to, co sami upolowali.

Drażymy temat niedźwiedzi. Na położonej bardziej na północ Wyspie Wrangla byliśmy przy grobie Czukczycy zjedzonego we własnym domu! – *Ale to sprawka miśków polarnych. W Enurmino brunatne jeszcze nikogo nie pożarły* – tłumacza miejsc-



FOT. MONIKA WITKOWSKA

wi. Jednak w sąsiedniej wiosce („sąsiedniej” znaczy oddalonej o kilkaset kilometrów) zaledwie kilka dni wcześniej niedźwiedź rozszarpał mężczyznę jeżdżącego po tundrze na quadzie.

Na wszelki wypadek, wychodząc na brzeg, zabieramy rakiety – na jachtach używa się ich do sygnalizacji, ale po odpaleniu są skutecznym środkiem odstraszającym niedźwiedzie. Miejscowi chodzą z psami – to najlepsza metoda. Psy hoduje się głównie z myślą o zaprzęgach. Saniami ciągniętymi przez czworonogi można pokonywać ogromne odległości. Zimą jednak żartów tu nie ma. Najlepiej wie o tym Sasza, szef wspomnianej już ekipy etatowych myśliwych, który wraz z kilkoma kompanami, w sylwestra, dwa lata temu, podczas zamieci zagubił się w tundrze. Mieli ze sobą namiot, ale tak wiało, że nie byli w stanie go rozstawić. Pechowcy przeleźli pod śniegiem, bez wody i jedzenia, ponad tydzień – dopiero wtedy znalazła ich ekipa ratunkowa. Jedna osoba zmarzła, zginęły też wszystkie psy. Odwodnionych, wyziębionych i ledwo żywych młodzieńców zabrano helikopterem do szpitala. Wszyscy mieli odmrożone stopy, w których potracili palce. Mimo tych traumatycznych przeżyć, Sasza nie może doczekać się, kiedy znowu pogna

w tundrę na saniach. Oczy błyszczą mu na widok parcianej taśmy, którą mamy na jachcie. – *Przydałaby mi się taka do uprzęży dla psów...* Dajemy mu ją w prezencie.

REWOLUCYJNY „OŁTARZYK”

Nazwa wioski pochodzi od słowa „Innurmin”, co w języku Czuckców ma oznaczać „miejsce za wzgórzami”. Faktycznie, w okolicy są niewysokie pagórki. Cała rozciągnięta na długiej mierzei wioska to właściwie jedna błotnista ulica „Sowietskaja” (a jakże!) i ustawione po obu jej stronach zabudowania. Asfaltu tu nie ma. Najbardziej rzucającym się w oczy obiektem jest szkoła – z wyglądu bardzo nowoczesna, nieco futurystyczna, przy zwykłych chałupinach wyglądająca jak z innego świata. Uczy się w niej nieco ponad 30 dzieci – są tu jedynie trzy pierwsze klasy plus przedszkole. Starszych uczniów wywozi się helikopterem do szkół w miastach oddalonych o setki kilometrów, gdzie mieszkają w internatach, i coraz częściej do swojej rodzinnej wioski już na stałe nie wracają. Wielu z nich zatracza znajomość czuckieńskiego języka.

Jarangi, czyli rodzaj jurty, to już tutaj przeszłość.

MISIU ZA BURTĄ!

Niedźwiedzie polarne są w stanie przepłynąć dystans ponad 100 km. Są bardzo ciekawskie, a niektóre sprawiały wrażenie, jakby się chciały z nami ścigać.



FOT. MONIKA WITKOWSKA

SZEROKIEJ DROGI

W wiosce nie ma pomnika Lenina, ale dla równowagi nie ma też cerkwi. Jedyną ulicą jest widoczna na zdjęciu Sowietskaja.

WODA PRZYJECHAŁA

Enurmino ma problem z wodą. Dowozi się ją takimi wehikułami.

Poza tak zwanymi tundrownikami, czyli Czukczami żyjącymi w głębi tundry, nikt już w nich nie mieszka. Teraz Czukczowie mają normalne domy, a w nich lodówki i telewizory. Jednak z bieżącą wodą jest problem. – *Przywozi ją beczkowóz, po czym wlewamy ją do wielkiego baniaka* – mówi Rosjanin przysłany do Enurmino jako szef miejscowej administracji. – *Latem nie ma problemu, nosimy wodę do domu, ale zimą beczka zamarza* – opowiada. U

naszego ulubieńca, Czukczy o imieniu Kim, jest jeszcze gorzej. Wraz ze swoją wielodzietną rodziną mieszka trochę na uboczu, w wykorzystywanej kiedyś przez naukowców, a teraz opuszczonej stacji polarnej, gdzie beczkowóz w ogóle nie dojeżdża. Wodę łapią z deszczówki. Wiele jej nie trzeba, bo Czukczowie nie mają rozbudzonej potrzeby mycia. Kim nie ma kuchenki – łososia, na którego nas zaprasza, jego żona gotuje na palenisku, w rogu skromnej izby. W chacie nie ma też prądu. Za to Kim ma ołtarzyk – poustawił na nim zdjęcia Lenina i Stalina. Pytam dumnego z tego dzieła Kima, czy sam na to wpadł, czy ktoś mu kazał? Czukczowie jest zdziwiony. – *Pewnie, że ja sam. Chciałbym tu jeszcze dostawić zdjęcia Marksa i Engelsa, ale nie mogę ich zdobyć...* – mówi.

Kim wygląda na szczęśliwego. Napomina wprawdzie, że dzieci zimą mają awitaminozę, że brakuje im mleka, ale to drobiazgi. Najważniejsze, że rodzina ma co jeść, bo ryba jest w bród. Jego żona i córki już o świcie idą zbierać rosnące w tundrze moroszki – arktyczne owoce wyglądające jak żółte maliny, a rosnące jak poziomki. Usmażą z nich potem powidła. Dają nam pół wiadra owoców. Głupio przyjąć: – *Za dużo!* – stwierdzamy. – *Jak chcecie, to bierzcie nawet i całe wiadro, my jeszcze nazbieramy* – nalegają. Chłopcy pomagają ojcu w rozstawianiu sieci. Lubią to zajęcie, a poza tym widać w nich szacunek dla starszych i wrodzoną karność.



FOT. MONIKA WITKOWSKA



FOT. MONIKA WITKOŃSKA

JESTEŚCIE ARESZTOWANI!

Z opowieści mieszkańców wynika, że nasz jacht jest pierwszym, który przyplłynął do Enurmino. – *A Amundsen?* – pytamy. Wiemy, że zimę 1924/25 roku statek „Maud”, którym Amundsen wraz z załogą żeglował przez Przejście Północno-Wschodnie, spędził w skutej lodem zatoce. Trochę jesteśmy zdziwieni, ale nazwiska słynnego norweskiego polarnika nikt z miejscowych nie kojarzy. W takim razie dopytujemy się o Kakonitę. Historię tej czukczeńskiej dziewczynki pięknie opisał Czesław Centkiewicz w książce „Człowiek, o którego upomniało się morze”. Kakonita, czteroletnia córka Czukczy pomagającego załodze, była jedyną osobą z rodziny, która nie umarła z głodu. Amundsen tak małą polubił, że postanowił zabrać ją do Norwegii, obiecując lepsze życie i edukację. Żeby Kakonicie nie było tęskno, zabrał jeszcze jej starszą koleżankę. Nie była to jednak historia z happy endem. Insynuacje, że to nieslubne córki Amundsena i jego bankructwo, sprawiły, że po dwóch latach Czukczenki wróciły do Rosji. Jaki był ich dalszy los, nikt w Enurmino nie wie. Mało tego, nikt tej historii nawet nie słyszał.

Za to nasz znajomy Kim zdradza inną ciekawostkę. Pokazuje zamykające horyzont wzgórze, na których szczytach leżą ludzkie czaszki. To pozosta-

łość po tradycyjnym pochówku stosowanym przez Czukczów w minionych wiekach. Ułożonym tam zmarłym rozcinalo klatkę piersiową i nacinano żyły udowe, co zwabiało ptaki i zwierzęta obgryzające mięso. W naturalny sposób po kilku dniach pozostawały tylko kości. Pewnie jeszcze niejedną fascynującą historię z życia Czukczów byśmy usłyszeli, gdyby nie zaskakująca wieść, że... jesteśmy aresztowani. Nie wiemy o co chodzi, dostajemy tylko nakaz, żeby czekać, bo płynie po nas statek wojskowy. Okręt ma nas odholować do odległego o 500 km portu, gdzie mamy być postawieni przed sądem, ale to już temat na zupełnie inną opowieść pod tytułem „jak za nic można w Rosji stać się kryminalistami”.

Żegnamy się z Kimem czukczeńskim „całusem”, co oznacza, że zamiast cmoknięcia jest jedynie dotknięcie policzka nosem i lekkie wciągnięcie powietrza. Na pożegnanie dostajemy też wielką kitę – rybę z rodziny łososiowatych, którą, jak radzi Kim, mamy usmażyć niczym kotlety, a wyciągnięty z wnętrza kawior zalać soloną wodą. I jak tu nie kochać Czukczów? ○

Więcej o rejsie na www.arcticexpedition.eu

CIĄGAJĄ NAS PO SĄDACH
Holowanie małej „Anny” przez wielki rosyjski statek wojskowy odbywa się pod nadzorem uzbrojonych żołnierzy. Jeden z nich stoi na dziobie naszego jachtu.



– Wystarczy, że powiem *Phi (duch)*, a kilka siada mi na ramieniu – powiedziała ciemnooka dziewczyna, rozglądając się nerwowo. Nie zachwylił jej temat, który zacząłem drążyć. Małe, bogato zdobione budowle przypominające budki dla ptaków, napotykałem na każdym kroku. Musiałem wreszcie poznać ich przeznaczenie. San phra phum – domy duchów można znaleźć prawie w każdym

tajskim domostwie, są też obecne na ulicach, a nawet w dzikich miejscach, gdzie nikt właściwie nie bywa. Podróżując po Azji południowo-wschodniej, można zobaczyć je również w Laosie, Kambodży i Birmie, czyli wszędzie tam, gdzie rozciągało się królestwo Khmerów i panowała kultura przesiąknięta hinduizmem.



Michał Pauli

DUCHY Z ISAN

Jest takie miejsce, gdzie raz do roku można zobaczyć setki duchów. Phi Ta Khon, tak nazywają tutaj te zmory, przetaczają się całymi stadami przez małe miasteczko Dan Sai, w prowincji Isan, 500 kilometrów na północny wschód od Bangkoku.

Michał Pauli 2012/10

PANTEON ZJAW

Większość Tajów wierzy, że budując nowy dom można przeszkodzić duchom tam żyjącym. Mały, ustawiony na filarze domek ma zapewnić schronienie dobrym siłom, które będą strzegły miejsca. Schronienie to musi znajdować się tam, gdzie nigdy nie padnie na nie cień ludzkiego domu. Stąd w miejscach gęsto zabudowanych, jak Bangkok,

najczęściej można je znaleźć na płaskich dachach. Samo umiejscowienie nie jest jednak rzeczą prostą i wymaga specjalnej ceremonii. Zajmują się nią osoby duchowne. Nie są to jednak buddyjscy mnisi – co mogłoby się wydawać dość oczywiste w kraju, gdzie urzędową religią jest właśnie buddyzm – lecz hinduscy kapłani. Skomplikowana ceremonia przywołuje bogów, a także Matkę Ziemię.

NUK PHUU

Autor obrazu: Michał Pauli
akryl na płótnie
80x45 cm



Duchom zamieszkującym San phra phum ofiarowuje się kadzidła i jedzenie, więc wokół domków ciągle leżą półmiski wypełnione owocami, ryżem, a nawet miejscową whisky. Nigdy jednak nie zauważyłem, by gołębie lub inne miejskie ptaki karmiły się tymi darami. Może one również, tak jak moja tajska przyjaciółka, wyczuwają ich obecność i boją się zakłócić spokój tego nadrealnego świata. A jest się czego bać, gdyż panteon tajskich duchów jest dość liczny.

JAIDEE

**Autor obrazu: Michał Pauli
akryl na płótnie
110x60 cm**

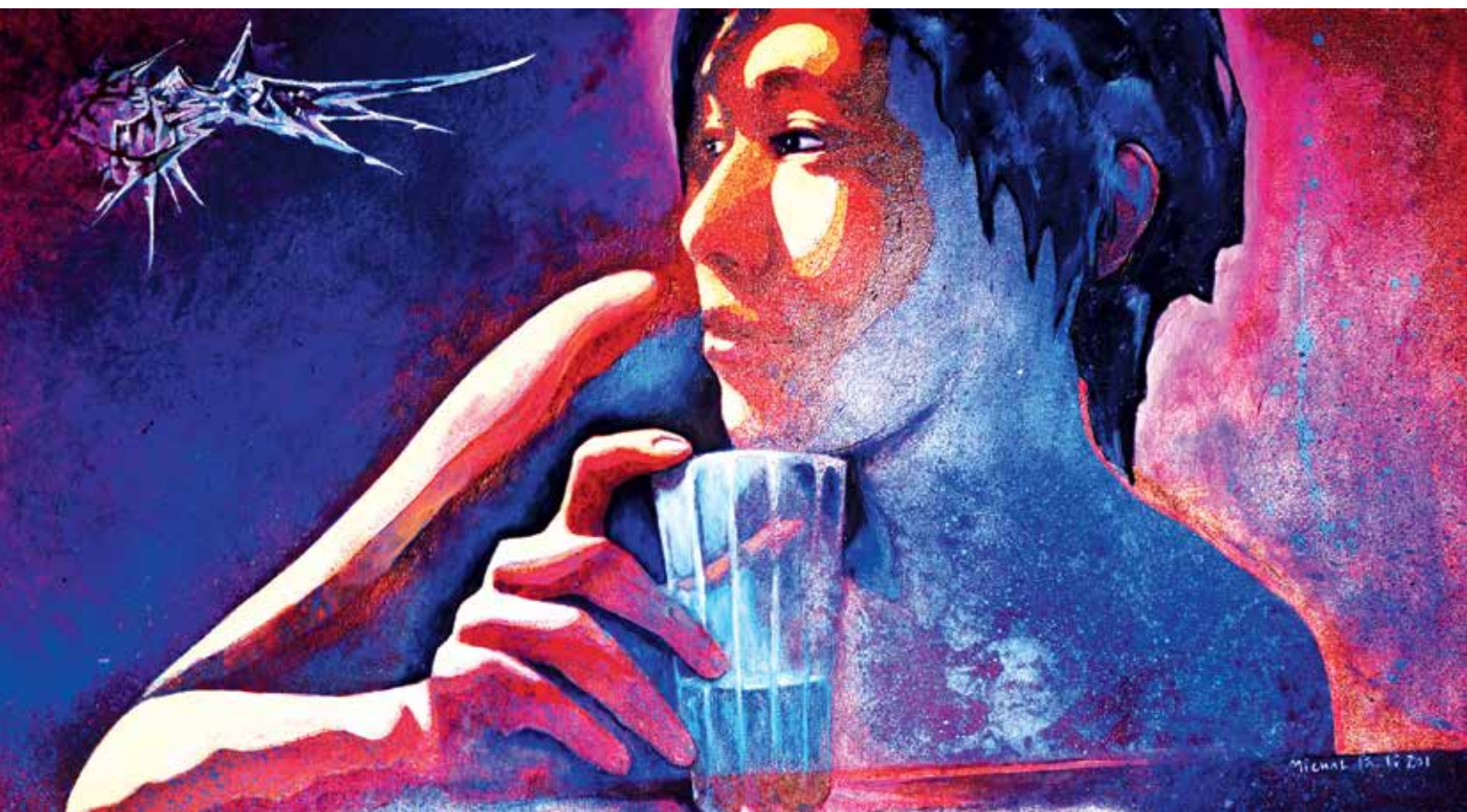
Phi Am – to duchy które podczas snu wkradają się do ludzkiej wątroby lub płuc. Phi Duat Leut – żywi się ludzką krwią, co czyni go podobnym do

wampira. Phi Hai – jest duchem, który nawiedza ludzi, powodując szaleństwo. Phi Kamod – wabi wędrowców, którzy przez niego błądzą. Phi Peta – to głodne duchy, których usta są wielkości ucha igły. Phi Kra-hang, Phi Kee, Phi Lok... jest ich naprawdę sporo. Wśród tych złych i strasznych są Phi Kra-sue – duch pięknej kobiety, która zamiast ciała ma zlepek organów czy Phi Krasu – duch żyjący w czarownicach, które można rozpoznać choćby po tym, że nie potrafią mrugać oczami, a w lustrze nie pojawia się ich odbicie. Można też spotkać dobre, jak Phi Nang Tani – duch kobiety żyjącej w bananowcach, który pojawia się tylko podczas pełni księżyca. Phi Nang Ta-kean napełnia czasem miski podróżujących mnichów. Moją przyjaciółką najbardziej przerażały: Phi Tai Tong Głom, Phi Tai Ha, Phi Phrai, Phi Tong Hong – duchy kobiet, które umarły podczas porodu.

DESPERATE HOUSEWIFE

– *Opowiem ci o Nang Nak. To prawdziwa historia – mówi z powagą moja przyjaciółka.*

Nang Nak żyła wraz ze swym ukochanym o imieniu Mak w małej wiosce niedaleko Bangkoku. Spodziewała się właśnie dziecka, gdy Mak został wezwany, by walczyć w wojnie przeciwko plemieniu Shan. Minęły długie miesiące, nim ciężko ranny, cudem unikając śmierci, zdołał wrócić do





domu. W wiosce przywitały go dziwne spojrzenia sąsiadów, lecz zapomniał o tym szybko, gdy zobaczył swą piękną żonę wraz z dzieckiem. Znów byli razem. Mak nie wiedział jednak o tym, co wydarzyło się podczas jego nieobecności. Nang Nak i niemowlę zmarli podczas porodu. Jej młody duch nie mógł się jednak pogodzić z utratą ukochanego męża, został więc na Ziemi. Mak, nie wiedząc o tym, żył z duchem. Kilkoro jego przyjaciół próbowało mu o tym powiedzieć, lecz zaborcza Nang Nak zabijała wszystkich, którzy stawiali się zagrożeniem dla ich związku.

Któregoś dnia Nak przygotowywała dla męża „nam phrik” (tradycyjne tajskie danie), gdy ze stołu spadła limonka i bez żadnego oporu przeleciała przez jej „ciało”. Zauważywszy to, Mak z przerażeniem zrozumiał, że jego żona jest duchem. Tej

samej nocy uciekł do pobliskiej świątyni. Nak wpadł w szal, niszcząc wszystko, co stało na jej drodze. Mieszkańcy postanowili spalić dom, gdzie mieszkała, lecz to wprawiło ducha w jeszcze większą wściekłość. Nie pozostało nic innego, jak wezwać z Bangkoku jednego z najmądrzejszych i posiadających nadprzyrodzoną siłę mnicha. Ten długo próbował przekonać ducha Nang Nak, by pozwoliła swojemu mężowi zacząć nowe życie. Na próżno. Skończyło się na wykopaniu zwłok Nang Nak, którym mędrzec wyciął przedni fragment czaszki. Tak właśnie zniszczył marę.

Moja tajska znajoma pokazała mi posąg Nang Nak. Stał w samym środku miasta przy Sukhumvit rd. Soi77. Przy swojej kapliczce znajdowało się pełno darów i wciąż płonące kadzidła.

PRA SONG

Autor obrazu: Michał Pauli
akryl na płótnie
90x100 cm



WAT PRA
Autor obrazu: Michał Pauli
akryl na płótnie
55x75 cm
(fragment)

HALLOWEEN PO TAJSKU

„Phi Ta Kon” jest częścią kilkudniowego festiwalu o nazwie „Boon Luang”, który odbywa się w okolicach czerwca. Jego dokładna data jest co roku wyznaczana przez miejscowych wróżbitów. Wsiadłem do autobusu odjeżdżającego z północnego dworca, znajdującego się na Mo Chit Mai, by po całym dniu męczącej podróży dotrzeć do upragnionego celu, niewielkiego miasteczka Dan Sai. Znajduje się ono w górzystej okolicy Loei, blisko granicy z Laosem, i jest częścią obszaru o nazwie Isan. Jego mieszkańcy silnie czują swoją odrębność od centralnego regionu Tajlandii. Ich język zdecydowanie bardziej przypomina khmerski, a sami nigdy nie powiedzą o sobie Khun Thai, lecz Khun Isan.

Przepychałem się przez uliczki, na których panował spory tłok. Wokół rozbrzmiewała transowa muzyka, pełna dzwonków, bębnów i zawodzących jak deptany kot Saw Sam Sai – instrumentów

przypominających jednostrunowe skrzypce.

Moim oczom okazały się pierwsze Phi Ta Khon. Miały duże ostre zęby i długie słoniowate nosy. Jak z podziemi, wyrosła przede mną jedna ze zmór. Miała pociągłą twarz pokrytą kolorowymi wzorami, spomiędzy których łypały na mnie skośne oczy. Po chwili obok pojawiło się kilka podobnych stworów, które mnie otoczyły. Poczulem się osaczony, gdy duchy zaczęły wykrzykiwać coś niezrozumiałego, potrząsając trzymanymi w rękach maczetami oraz sporymi drewnianymi rzeźbami penisów pomalowanymi na czerwono. Zwłaszcza te ostatnie mogą wprawić w sporą konsternację białego włóczęgę. Warto jednak pamiętać, że dla Azjatów jest to symbol szczęścia, powodzenia, kreatywności... Myśląc tymi kategoriami, zdobyłem się na uśmiech. Poskutkowało: jeden z Phi podał mi butelkę miejscowej whisky, co zdecydowanie rozluźniło atmosferę. Niestety, rozmowa szła cięż-



ABSAR – FRAGMENT

Autor obrazu: Michał Pauli
akryl na płótnie
70x50 cm
(fragment)

ko, miejscowe duchy nie mówiły po angielsku. Po chwili odeszły, by dołączyć do reszty pływających zjaw. Zaczęło się ściemniać, a cały pochód ruszył w kierunku rzeki Mun. Tam już wcześniej, w godzinach porannych odbyła się ceremonia z udziałem białych, rzecznych, okrągłych kamieni, nazywanych tu Phra Uppakhut. Legenda głosi, że Phra Uppakhut był mnichem o nadprzyrodzonych mocach. Gdy osiągnął najwyższy stan medytacji, mógł zamienić się w cokolwiek zechciał. Mnich wybrał bycie białym okrągłakiem. Tak oto te rzeczne kamienie stały się magicznym talizmanem przeciw złym mocom. Po zmroku zabawa jeszcze bardziej rozkręciła się, podsycana sporą ilością alkoholu, i nie tylko. Tańczące duchy opanowały całe miasteczko. Napotkałem jednego, który mówił łamaną angielszczyzną. Miał na imię Tom. Jego maska Phi ta Khon pokryta była czerwono-zielonymi wzorami. Tom był tatuażystą. Miał swoje małe studio w oddalonej o ponad 600 km Pattayii, turystycznej miejscowości położonej nad morzem. Festiwal Boon Luang sprowadzał go jednak co roku w rodzinne strony. To dla niego najważniejsze święto w roku.

– *Kiedys nie spotykało się tu turystów* – stwierdził uśmiechając się szeroko i wymachując czerwonym drewnianym penisem w kierunku dwóch przechodzących blondynek. Ciemne niebo rozświetlił błysk wybuchającej bambusowej rakiety. Te specyficzne sztuczne fajerwerki produkuje się tu domową metodą.

Święto trwało trzy dni, po których miałem zdecydowanie dość hałasu i duchów. Zabrałem swój plecak z guesthouse'u, gdzie się zatrzymałem, by zobaczyć górzystą okolicę. Festiwal pozostawia niezapomniane obrazki. W mojej głowie ciągle kłębiły się różne usłyszane podczas tych kilku dni legendy. Wyjeżdżając z Dang Sai, miałem wrażenie, że na moich ramionach siedzi kilka istot z innego świata. ○



Michał Pauli (urodzony w 1972 roku w Kielcach) artysta plastyk, z zamiłowania podróżnik. Skazany w Tajlandii na 12 kar śmierci, zamienionych na dożywocie, spędził w najbardziej złoconych więzieniach świata sześć długich lat. W wydanej przez wydawnictwo Artest książce „12 razy śmierć. Relacja z Krainy Uśmiechu” przedstawił poruszający zapis tamtych dni. Już w księgarniach.

Michał Pauli będzie gościem miesięcznika *Poznaj Świat* podczas tegorocznej imprezy **KOLOSY** w Gdyni.

Kraj na ŚRODKU świata



Przemysław Kozłowski
TESTIGO DOCUMENTARY





FOT. PRZEMYSŁAW WOJCIKOWSKI

Choć równik przecina wiele państw, tylko Ekwadorczycy byli z tego faktu tak dumni, że nazwę swego kraju wzięli od linii dzielącej Ziemię na dwie połowki. A na tej linii zbudowali ogromny monument i muzeum Mitad del Mundo – „środka świata”.

Niezła szopka z tym równikiem. Przez obszar oficjalnego, państwowego muzeum ciągnie się gruba, żółta linia namalowana olejną farbą, na której stojąc w rozkroku, leżąc lub przyjmując inne, dziwne pozy, fotografują się turyści. Trochę dalej, na terenie prywatnego muzeum wymalowano czerwoną linię, na której przeprowadzane są eksperymenty mające dowieść, że równik przebiega tak naprawdę tutaj. Zaś pomiędzy jednym a drugim muzeum można spotkać Indian, którzy za 25 dolarów zaprowadzą na wzgórze Catequilla, gdzie przez tysiącletnie indiańskie sanktuarium przebiega ten podobno najprawdziwszy równoleżnik 0°.



POMNIK RÓWNIKA
Turyści chętnie fotografują się na żółtej linii, w przekonaniu, że stoją równocześnie na dwóch ziemskich półkulach.



linią równika. W oddali widać rozpełzające się na otaczające wzgórza monstrualne przedmieścia Quito, stolicy kraju położonej 20 kilometrów na południe od równika.

Pomiary Francuzów dały początek nie tylko nazwie państwa, ale co ważniejsze – systemowi metrycznemu oraz udowodniły, że Ziemia nie jest dokładnie okrągła, lecz lekko spłaszczona na biegunach i wybrzuszona na równiku. Jednak okazały się one nieprecyzyjne. Według dzisiejszych wyliczeń równik przebiega 240 metrów na północ od Mitad del Mundo. Tu znajduje się prywatne Museo Solar Inti Ñan, gdzie jak zapewnia oprowadzająca nas piękna, latynoska przewodniczka, GPS pokazuje równik. Ale co tam GPS. Przekonać się o tym możemy, doświadczając szeregu prezentowanych eksperymentów. Na równiku siła grawitacji jest mniejsza, więc możemy na łebku gwoździa postawić w pionie jajo. Idąc z zamkniętymi oczami po wymalowanej linii równika, będziemy tracić równowagę niczym pijani. Przewodniczka bez wysiłku na tejże linii opuści nasze wyprostowane sztywno ręce, z czym nie może sobie poradzić, gdy stoimy obok linii. Najciekawsze jest doświadczenie ze zlewem i wirami wodnymi pokazujące siłę Coriolisa. Ze zlewu postawionego na równiku woda ścieka bez zawirowań, po przesunięciu na półkulę południową wiruje w lewo, a na północ od magicznej linii wir wodny kręci się w prawo. Zabawne są te wszystkie doświadczenia, ale najzabawniejsze jest to, że GPS pokazuje szerokość geograficzną 00°00'00" kilkadziesiąt metrów dalej na północ, na autostradzie.

RÓWNIKI TRZY... A NAWET CZTERY

Ale po kolei. Badania nad wytyczeniem równika trwały już od początku XVIII wieku. Monument wielkości dziesięciopiętrowego budynku stoi w miejscu wyznaczonym w połowie XVIII stulecia przez francuskich naukowców. W środku, na kilku piętrach znajduje się ciekawe muzeum etnograficzne, a z tarasu widać Andy, pięknie otaczające to miejsce ze wszystkich stron, oraz pozostałe atrakcje kompleksu – planetarium, restauracje, sklepy z pamiątkami i kaplicę, w której podczas ślubu nowożeńcy stoją na dwóch różnych półkulach oddzieleni

KRAJ GORĄCYCH WULKANÓW

Mapa Ekwadoru przypomina ludzkie serce. Lewa komora to Oriente – zachodnie rubieże Amazo-



FOT. PRZEMISŁAW KOZŁOWSKI

POŻYTEK Z WULKANU

Źródła La Piscina de La Virgen ogrzewane są przez wulkan Tungurahua.

nii, prawa to Costa – wybrzeże Pacyfiku, zaś przez środek leci tętnica płucna – Andy. A z tych płuc nieźle się dymi. Choć to najmniejszy kraj andyjski, znajduje się tu aż 30 wulkanów, w tym 8 czynnych, a wśród nich jeden z najwyższych aktywnych na świecie – Cotopaxi, położony na wysokości 5897 m n.p.m., 90 km na południe od „środką świata”. W jego cieniu leżą dwa duże miasta – Quito i Latacunga. W cieniu i ciągłym zagrożeniu. Od 1738 roku miało miejsce ponad 50 erupcji. Kolonialne miasto Latacunga (120 km na południe od „środką świata”) zostało solidnie zniszczone w wybuchach w latach 1744 i 1768. Dzielni mieszkańcy odbudowali je, by znów doświadczyć katastrofy w 1877 roku. Miasto pewnie zostałoby zniszczone doszczętnie, gdyby nie opieka Świętej Panienci Miłosierdzia. W Kościele Miłosierdzia, po lewej stronie ołtarza, znajduje się wielki obraz. Przedstawia dymiący i plujący ogniem wulkan, z którego płynie szeroka rzeka lawy. Płyne w stronę Latacungi, nad którą na tle czarnego nieba pokazuje się święta Maria z Dzieciątkiem. Gorejąca rzeka tuż przed miastem skręca i szczęśliwie je omija. My na trasie naszej wędrówki Latacungi ominąć nie chcemy i tak planujemy pobyt, by trafić na chyba największy ekwadorski festiwal Fiesta de la Mamá Negra (Czarnej Matki) poświęcony Paniencie Mi-



FOT. PRZEMISŁAW KOZŁOWSKI

łosierdzia. Święto odbywa się dwa razy w roku: w sierpniu i listopadzie. Przed wyjściem na festiwal, dziewczyna z hostelowej recepcji, daje nam dobrą radę: „Wszystko co cenne, zostawcie w hotelowym depozycie”.

Ulicami miasta idzie wielka parada. Na czele tańcy mężczyzna przebrany za Mamá Negrę, inni przebrali się za czarownice i w ramach rytualnego oczyszczenia dmuchają na ludzi dymem i poją aguardiente (ognistą wodą) z trzciny cukrowej. Są też mężczyźni dźwigający na plecach całą upieczoną świnię, przystrojoną owocami, butelkami wódki i paczkami papierosów. Paradują strojnie ubrani Indianie, muzycanci, tancerze, żołnierze, transwestyci. Mieszają się tradycje hiszpańskie, afrykańskie, katolickie, świeckie i prekolumbijskie. Próbuje przepchać się jak najbliżej pochodu, ale tłok jest potworny. W jednej, wyciągniętej w górę ręce ściskam aparat, którego pasek zawinałem wokół nadgarstka, w drugiej dłoń K., żebyśmy się nie pogubili. I czuję jak w tłumie macają mnie po kieszeniach liczne dłonie. Oglądam się i widzę twarz niemal świętej staruszki, patrzę w drugą stronę, a tu dziewczynka, równie święta. A niech sobie macają, zgodnie z radą kieszenie mam puste. Najciekawiej

jest w bocznych uliczkach. Co kilka metrów stoją grille z przysmakami: świńską skórą, świnkami morskimi, kukurydzą, oraz stragany z chichą (lekki alkohol ze sfermentowanej kukurydzy) i piwem, którego w pełnym słońcu uczestnicy fiesty wypijają hektolitry i czego skutki z upływem czasu widać coraz bardziej. Coraz więcej młodzieńców sika, wymiotuje lub śpi pod murami. Wielkie głośniki puszcza głośną salsę, rumbę, reggaeton. Wokół ludzie tańczą, namiętnie się całują i obściskują. Gorąca krew. Pod wieczór ulice toną w śmieciach, a my wracamy zmęczeni do hostelu. Tu dowiadujemy się od Niemki z naszego dormitorium, że straciła w tłumie lustrzaną Nikoną.

TRUDY AKLIMATYZACJI

Chcielibyśmy się zmierzyć z tym postrachem ludu – Cotopaxi nie jest szczególnie wymagającą górą pod względem technicznym, ale do jej zdobycia potrzebna jest niezła kondycja i dobra aklimatyzacja. 2800 m n.p.m., na których leży Latacunga, to wciąż za nisko, by oswoić swój organizm z wysokością. Jedziemy więc do Quilotoa, wioski Indian Keczua położonej na wysokości 3914 m n.p.m., 186 km na

**NAJPIERW FIESTA
POTEM SJESTA**

**Festiwal Fiesta de la Mamá
Negra w Latacundze**





NA DEPTAKU W KALDERZE

**Jeziora w kalderze
wygasłego wulkanu
Quilotoa to popularny
weekendowy cel wielu
ekwadorskich turystów.**

południowy zachód od „środka świata”. Keczua to nie tylko nazwa plemienia, ale też najpowszechniej używanego w całych Andach języka, którym posługuje się około 10 mln Indian. Był to urzędowy język w imperium Inków.

W wiosce zastajemy tłumy ekwadorskich turystów, którzy mają długi weekend z okazji święta zmarłych i przyjechali podziwiać trzykilometrowej średnicy jezioro w kalderze wygasłego 800 lat temu wulkanu. Kalderę Quilotoa można obejść w 9 godzin lub zejść 400 metrów w dół nad brzeg jeziora o zielonej barwie. Wędrówka to katorgia i to nie dlatego, że ze względu na wysokość ciężko złapać oddech, lecz z powodu kurzawy. Ścieżkę wydeptaną w białym, wulkanicznym popiele rozdeptują setki ludzkich stóp oraz końskich i oslich kopyt, na których przedsiębiorczy tubylcy wożą leniwych lub niezdolnych do marszu turystów. Pył wdiera się wszędzie. Schodzące przed nami elegancko ubrane Indianki w czarnych pantofelkach na obcasach, białych podkolanówkach, ciemnych wzorzystych spódnicach do kolan, narzutkach na ramionach i kapełusikach na głowach (często z pawim piórem) będą na dole wyglądały jak śnieżne bałwany. Po jeziorze

można popływać kajakiem lub rowerem wodnym, ale kolejka jest zbyt długa. Oddaliśmy się więc w spokojniejsze miejsce, by pokontemplować widoki. Wysokość jednak daje się we znaki i całą noc głowa pęka mi jak skała rozrywana eksplozją wulkanu.

WYGRZAĆ KOŚCI

Przed wyprawą na Cotopaxi postanawiamy zrelaksować się w gorących źródłach w Baños, miście położonym u podnóża wulkanu Tungurahua (co w języku keczua znaczy gardziel ognia), 199 km na południe od „środka świata”. Jedziemy słynną drogą Panamericana, łączącą Alaskę z południowym krańcem Argentyny, a podróż umiła muzykant grający jednocześnie na gitarze i fletni Pana przeboje w stylu El Cóndor Pasa. W czasie jazdy autobusem po Ekwadorze nie można się nudzić. Na każdym postoju wsiadają sprzedawcy napojów, przekąsek, pieczonych kurczaków, cudownych medykamentów za jedynego dolara, grajkowie i głosiciele Słowa Bożego. No i non stop wyświetlane są bardzo głośno strasznie krwawe filmy, ściszone tylko na czas prelekcji kolejnego oferenta.



W turystycznym Baños robimy obchód agencji organizujących wyprawy na Cotopaxi. W jednej z nich za biurkiem siedzi właściciel, a na podłodze bawi się jego dwuletnia córka.

– *A nie chcecie zamiast na Cotopaxi wejść na Tungurahua? Mogę was zabrać* – proponuje przewodnik. To dziwne, w innych agencjach mówili, że to zabronione, bo wulkan jest wyjątkowo aktywny. W 1999 roku, gdy obudził się po długiej przerwie, 25 tys. mieszkańców miasteczka i okolic zostało na kilka tygodni ewakuowanych.

– *A kiedy ostatnio pan tam wchodził?* – dopytuję.

– *Próbowałem dwa tygodnie temu, ale musiałem zawrócić, bo dostałem w głowę wystrzelonym z wulkanu kamieniem. Ale wam dadym kaski* – odpowiada właściciel agencji i pokazuje świeżą szramę na czole.

Decyzję co do wyboru agencji zostawiamy na później. Czas się wygrzać w gorących źródłach. Nazwa miasta pochodzi od hiszpańskiego słowa baño (łaźnia), a woda w kompleksie Basenów Dziewicy (chodzi o Marię Dziewicę, która ukazała się ponoć nad wodospadem obok źródeł) jest oczywiście ogrzewana przez wulkan. Niestety, albo sie-

dzę w łaźniach za długo (za duża dawka minerałów naraz?), albo przesadzam z zimnymi prysznicami w wodospadzie, bo wieczorem dostaję gorączkę i biegunkę, które, mimo aplikacji leków, trwają trzy dni. W takim stanie mogę zapomnieć o wspinaczce na szczyt. Na pocieszenie wykupujemy jednodniową wycieczkę z wejściem na lodowiec na Cotopaxi, który zaczyna się na pięciu tysiącach metrów i jest jednym z niewielu stałych lodowców w strefie równikowej. Gdyby znów nastąpiła tak silna erupcja, jak ponad sto lat temu, największym zagrożeniem byłoby właśnie jego roztopienie i spowodowana tym lodowo-wodna powódź niszcząca zamieszkałe przez ponad milion ludzi robotniczo-slumsowe przedmieścia stolicy. Z parkingu 300 metrów poniżej schroniska zjeżdżamy na płaskowyż na rowerach górskich. To czterdziestominutowe doświadczenie polecane wszystkim uzależnionym od adrenaliny. ○

Oprawej i lewej komorze ekwadorskiego serca, czyli amazońskiej dżungli i wybrzeżu Pacyfiku, spotkaniu z szamanem, indiańskich rynkach i walkach kogutów przeczytacie w kolejnym numerze miesięcznika *Poznaj Świat*.

NA HERBATKĘ Z PRADEM?

W drodze do schroniska pod wulkanem Cotopaxi.

Przyjazna metropolia

Agnieszka Borkowska

FOT. AGNIESZKA BORKOWSKA



Na Pearson International Airport w Toronto witają mnie czerwone liście klonowe na statecznikach samolotów Air Canada. Symbol klonowego liścia odnajduję przez następne dwa tygodnie wszędzie: na flagach, butelkach z syropem klonowym, a nawet wplecione w logo restauracji McDonald's.



WSZYSCY CHCĄ NA FESTIWAL

**Tekturowi
funkcjonariusze
Kanadyjskiej Królewskiej
Policji Konnej strzegą
Roy Thompson Hall.**

Początki Toronto sięgają XVIII wieku, kiedy ziemia nad jeziorem Ontario została zakupiona przez koronę brytyjską od plemienia Mississauga i założono Town of York. W 1834 roku York otrzymał prawa miejskie pod nazwą Toronto. Znaczenie tej nazwy jest tematem dyskusji, zaś najpopularniejsza z hipotez, autorstwa historyka Henry'ego Scaddinga, zakłada, że słowo pochodzi z języka plemienia Huronów i oznacza „wielu ludzi” albo „miejsce spotkań”. Zważywszy, że w Toronto spotykają się rozliczne grupy etniczne i kulturowe, jest to interpretacja dość wiarygodna i trafna.

Toronto rozrastało się, wchłaniając stopniowo podmiejskie osady, aż stało się nowoczesną metropolią, która jednak pamięta o swojej przeszłości. Pozostałości architektury dziewiętnastowiecznej napotkać można do dziś niemal na każdym kroku. Niskie ceglane budynki otoczone są nowoczesnymi wieżowcami ze szkła i stali. Najznamienitszym przykładem zachowania starej zabudowy jest Yorkville. Była to osada, którą wchłonęło miasto i teraz jest uważana za najbardziej ekskluzywną dzielnicę handlową w Kanadzie. Małe butiki i galerie sąsiadują z nowymi luksusowymi hotelami i restauracjami. Znajduje się tu też interesujący The Village of Yorkville Park, który zaprojektowano tak,

aby przedstawiał różnorodność kanadyjskiej przyrody. Są tu sosny, dzikie jabłonie, zioła, roślinność bagienna; jest mały wodospad i ogromny granitowy głaz – wszystko w otoczeniu wielkomiejskiego zgłębku i krzątaniny.

KOJOTY ZE ŚRÓDMIEŚCIA

Układ ulic w Toronto jest typowo amerykański – krzyżują się one pod kątem prostym, tworząc kwartały. Ulica Bloor, biegnąca ze wschodu na zachód, równoległe do najdłuższej linii metra, jest w centrum wielkomiejską arterią, stalowo-szklanym kanionem. Stopniowo w stronę przedmieść zmienia się w ulicę podmiejską, po obu stronach której znajdują się jednopiętrowe budynki ze sklepami, biurami i restauracjami. Jadąc wzdłuż Bloor, można zauważyć niezwykle różnorodność etniczną mieszkańców Toronto – co jakiś czas zmienia się język napisów na szyldach i wtedy wiadomo, że właśnie jesteśmy w kolejnej małej społeczności.

W rozmaitych rankingach Toronto znajduje się w czołówce miast, w których ludziom żyje się najlepiej. Tutejsze władze chwalą się, że jest to także najbardziej zielone miasto na świecie. Rzeczywiście, parków jest bardzo dużo, nawet w centrum

niemal przy każdym zbiegu ulic znajdują się zielone skwerki. Obfitość drzew sprzyja obfitości zwierząt, nie tylko tych zazwyczaj spotykanych w parkach miejskich. Tablice ostrzegają przed kojotami, a szopy pracze pładrujące przydomowe śmietniki są niemal codziennością.

Władze miasta przywiązują dużą wagę do ekologii. Wszystkie kosze na śmieci są dostosowane do sortowania. Zachęca się też ludzi do korzystania z komunikacji publicznej. Dobrze rozwinięta sieć metra, doskonale skomunikowana z autobusami, sprawia, że mieszkańcy chętnie podróżują transportem miejskim. Stacje metra w śródmieściu połączone są ze sobą i z ważnymi miejscami w centrum systemem podziemnych przejść i pasażów nazwanych PATH, liczącym 28 kilometrów.

MIASTO JAK Z FILMU

Toronto jest największym miastem Kanady, centrum finansowym i ekonomiczną stolicą kraju. Jest też dużym ośrodkiem kultury. Jedno z najważniejszych wydarzeń to Toronto International Film Festival. TIFF organizowany jest od 1976 roku, ale dopiero w roku 2010 doczekał się otwarcia swojej siedziby – TIFF Bell Lightbox & Festival Tower. Teraz budynek o przeszklonych ścianach, znajdujący się w centrum Toronto, jest miejscem projekcji, wystaw, wykładów i wszelkich wydarzeń związanych z filmem, a podczas dwóch wrześniowych tygodni jest festiwalowym centrum, pełnym ludzi i gwaru.

Festiwal filmowy w Toronto jest uważany, wraz z festiwalami w Cannes, Wenecji i Berlinie, za jeden z najważniejszych na świecie, ale to o nim mówi się, że to „festiwal dla ludzi”, czego najlepszym dowodem jest brak jury. Nie ma również nagród dla najlepszego aktora, aktorki czy reżysera. Publiczność głosuje na jeden „najlepszy film festiwalu” (People’s Choice Award). Projekcje odbywają się w kilku salach kinowych, znajdujących się w budynkach położonych w centrum miasta. Moim ulubionym miejscem projekcji stał się Elgin and Winter Garden Theatres. To niemal stuletni, ostatni tego typu teatr na świecie. Dwie sale położone są jedna nad drugą. Tak budowano teatry na przełomie wieków XIX i XX w dużych miastach, gdzie działki były bardzo drogie. Z czasem dolną salę przekształcono w kino, a sam teatr nieco podupadł. Pod koniec lat 1980. budynek przeszedł gruntowną renowację i teraz można podziwiać odnowione oryginalne wnętrza, sztukaterie i złocenia na ścianach oraz bogato zdobione loże i foyer. Ale emocje związane z projekcjami i spotkaniami z twórcami filmów są takie same



w Elgin, jak i w nowoczesnym multipleksie przy Dundas Square.

Nieodłącznym elementem festiwalu są oczywiście gwiazdy. Najważniejsze gale i najefekowniejse czerwone dywany „odbywają się” w Roy Thompson Hall – sali koncertowej położonej w centrum niedaleko Bell Lightbox. Rangę zapowiedzianych znakomitości można poznać po wielkości tłumu zgromadzonego wzdłuż barierki odgradzających wejście do RTH. Niektórzy fani stawiają się na miejscu kilka lub nawet kilkanaście godzin przed galą, żeby zobaczyć swoją ulubioną gwiazdę. Z ciekawością obserwują pracę akredytowanych fotoreporterów, którzy robią wszystko,

GOTOWY PLAN FILMOWY

Nowoczesna architektura miasta sprawia, że z powodzeniem udaje ono w filmach metropole, takie jak Nowy Jork. Zaś wspaniale zachowane kolonialne budynki stanowią scenografię dla dziewiętnastowiecznych opowieści.



FOT. AGNIESZKA BOROWSKA

PANNA Z MGŁY

Ubrani w jednakowe niebieskie sztormiaki, amatorzy wrażeń płyną na pokładzie „Maid of the Mist”, by przeżyć bliskie spotkanie z wodospadem Niagara.

by zdobyć to jedno najlepsze, wyjątkowe ujęcie – the money shot – które obiegnie świat i powielane będzie na setkach stron w internecie i w prasie papierowej.

Toronto jest bardzo przyjaznym miejscem dla filmowców. Przychylność władz miasta, a także różnorodna architektura, która umożliwia przekształcenie Toronto w praktycznie dowolne miasto, sprawiają, że kręci się tutaj coraz więcej filmów. Później oglądamy na ekranie akcję na ulicach Nowego Jorku, która w rzeczywistości kręcona była w Toronto. Ponadto, od kilku lat funkcjonuje tutaj

Pinewood Studios Toronto. Powstają tu nie tylko plenery, ale możliwa jest cała produkcja wielkich kinowych hitów. Kilka tygodni przed festiwalem zamknięto na dwa dni odcinek jednej z głównych arterii miasta, Lake Shore Boulevard, żeby umożliwić realizację scen akcji do remake’u Total Recall (Pamięć absolutna), hitu sprzed dwudziestu lat. To największa do tej pory produkcja filmowa realizowana w Toronto. Teraz będę wypatrywać w filmach znanych miejsc, może uda mi się dostrzec coś, czego producentom nie udało się ukryć. Może nawet gdzieś w tle mignie CN Tower.

MIASTO POD PODŁOGĄ

CN Tower jest najbardziej rozpoznawalnym budynkiem w Toronto. Ta wieża, widoczna z każdego miejsca w mieście, stała się jego symbolem i największą atrakcją. Wznosi się na wysokość 553 metrów. Od powstania w 1976 roku była najwyższą wolno stojącą budowlą na świecie aż do września 2007 roku, kiedy to otwarty został wieżowiec Burdż Dubaj. CN Tower działa jako wieża telewizyjna, ale dostępna jest też dla zwiedzających. Na górę kursuje sześć szybkobieżnych wind poruszających się z prędkością 6 m/s. Wjazd na wysokość 346 m trwa około minuty. Część szybu windy jest przeszklona, zatem już w czasie jazdy można podziwiać widoki. Obok wind biegną też najdłuższe stalowe schody świata. Wykorzystuje się je w corocznym charytatywnym biegu. Rekordzista

PANORAMA SPOD ANTENY

Widok na centrum Toronto z CN Tower. Charakterystyczne zaokrąglone budynki to nowy ratusz. Nieopodal widoczne są światła Dundas Square, jedyne miejsca w Toronto, z krzykliwymi reklamami w tak dużym natężeniu.



FOT. AGNIESZKA BOROWSKA



FOT. AGNIESZKA BOROWSKA

pokonał 1769 stopni w niespełna 8 minut; zazwyczaj zajmuje to uczestnikom około pół godziny.

Na pierwszym poziomie obserwacyjnym znajduje się obrotowa restauracja, a poniżej oszklony taras widokowy oraz kawiarnia, zaś jeszcze niżej, na wysokości 342 metrów, zewnętrzny taras widokowy oraz od 2008 roku kolejna atrakcja: szklana podłoga – 24 metry kwadratowe wzmocnionego materiału o wytrzymałości pięciokrotnie przekraczającej normy. Można też wjechać kolejną windą wyżej, na wysokość 446,5 metra, gdzie znajduje się Sky Pod, mniejszy pokład obserwacyjny, tuż pod anteną.

Rozglądam się na cztery strony świata, które podobno z wieży widać na odległość ponad 100 kilometrów. Dostrzegam podmiejskie dzielnice Toronto, a w oddali zarys wieżowców w śródmieściu miasta Mississauga, sąsiadującego z Toronto. Na południu rozpościera się jezioro Ontario. Podobno w bardzo pogodne dni widać stąd wodospad Niagara. Mnie się nie udaje go dostrzec, przyglądam się za to Toronto Islands, wyspom będącym terenami rekreacyjnymi. To największa w Ameryce Północnej miejska strefa wolna od samochodów. Wyspy nie mają stałego połączenia z lądem, dostać się tam można jedynie promami kursującymi regularnie przez cały dzień. Jest słoneczne późne popołudnie, doskonała pogoda na EdgeWalk, czyli przechadzkę po krawędzi. Patrzę prosto w dół i dostrzegam sylwetki w czerwonych kombinezonach.

To śmiałkowie, którzy odważyli się uczestniczyć w najnowszej atrakcji CN Tower. Od 1 sierpnia 2011 roku można spacerować się po dachu restauracji, na wysokości 356 metrów. Uczestnicy przypięci są do prowadnicy na dachu przy pomocy specjalnej uprząży. Spacer trwa pół godziny i, jak zapewniają organizatorzy, pozwala przekroczyć granice własnego strachu. Może kiedyś udam się na tę przechadzkę, pokonam swój strach, a na pamiątkę dostanę DVD (wliczone w cenę).

Słońce chyli się ku zachodowi, powoli zapada zmrok, zapalają się światła miasta. Daleko ponad jeziorem, na horyzoncie, dostrzegam migoczące punkciki. To Rochester w stanie Nowy Jork, położone 150 km od Toronto. Myślę, że może przy sprzyjającej pogodzie faktycznie widać stąd Niagarę.

Zjeżdżam na dół. Światła miasta migoczą wielobarwnie podczas jazdy windą. Sama wieża zmienia kolory dzięki oświetleniu LED: raz jest pomarańczowa, to znów zielona albo niebieska.

ZOSTANĄ SŁODKIE WSPOMNIENIA

W drodze do samolotu odczytuję zawieszone na ścianach lotniska tablice informacyjne z fotografiami i ciekawostkami o Kanadzie, które oznajmniają, że żyje się tutaj zdrowo, dostatnio i bezpiecznie. Mam przecucie, że to prawda, a nie podkolowana propaganda. A w domu zrobię naleśniki z syropem klonowym. ○

ZOBACZYĆ GWIAZDY

Najwytrwalsza publiczność festiwalowa jest w stanie czekać wiele godzin przed Roy Thompson Hall na rozpoczęcie gali.



Czad

KOLOSZY 2011

Już sama nazwa kraju brzmi ekstremalnie. Przygotowując się do wyjazdu, potrzebowaliśmy jednak konkretów, a te trudno znaleźć, bo aktualnych przewodników książkowych po tym kraju po prostu nie ma. Mały, 13-stronicowy rozdział o Czadzie w przewodniku Lonely Planet „Africa”, przedstawia kraj jako niebezpieczny i wyjątkowo nieprzyjazny turystom, gdzie skorumpowani policjanci i żandarmeria tylko czyhają na możliwość wymuszenia łapówki od nielicznych białych. Na dodatek Czad w ostatnich latach był areną licznych krwawych rebelii, przerywanych krótkimi okresami napięć społecznych.



PH. DOMINIK SZMALDA

Dominik Szmajda

CZAD

na rowerach

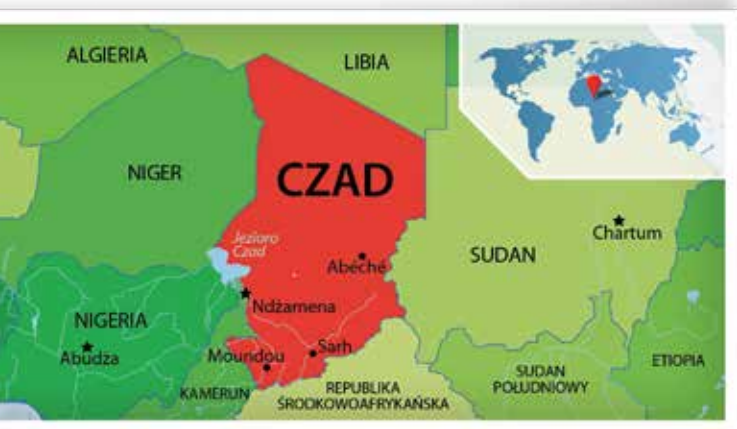




FOT. KATARZYNA FALKOWSKA

Przezesywanie internetu pozwoliło nam znaleźć pojedyncze relacje sprzed kilku lat z podróży w okolice jeziora Czad i Ndżameny, stolicy kraju. Jednak nikt nie podróżował po południowej części Czadu, nikt nie zapuszczał się na rowerze w dzikie okolice jeziora Iro, w ogóle nikt tam nie podróżował. Początek naszej wyprawy, i jak się potem

okazało, najbardziej ekstremalna jej część, przypadała właśnie tam. Wszystko za sprawą Kazimierza Nowaka, którego śladami chcieliśmy podążać. Po blisko czterech latach samotnej podróży rowerem przez Afrykę, w lutym 1936 roku dotarł on do Fortu Archambault, niewielkiej osady na południowo-wschodnich rubieżach Czadu – wówczas prowincji Francuskiej Afryki Równikowej. Przed wyruszeniem w dalszą drogę na północ, postanowili udać się na kilkudniową „wycieczkę”: „Ziemie Sara-Kaba i Sara-Dżindzi, aż hen, po małe jezioro zwane Iro-it były terenem mojej wielodniowej wycieczki. Polując, zwiedziłem najciekawszą część basenu jeziora Czad...” („Na Szerokim Świecie” nr 17, 1936)



ROWERY NA START

Współcześnie Fort Archambault nosi nazwę Sarh i licząc 100 tys. mieszkańców, jest trzecim co do wielkości miastem Czadu. Słowo „miasto” należy traktować w odpowiednim kontekście środkowoafrykańskiej rzeczywistości. Dotarliśmy tam z Ndżameny po dwóch dniach jazdy lokalnymi au-

BIALI NA STRAGANIE

Na targowisku w Boum Kebir zaintrygowały nas lokalne, egzotyczne owoce i warzywa. My z kolei byliśmy egzotyczni dla miejscowych.

tobusami, a na ostatnim etapie podwiózł nas brat Artur Ziarek, który wraz z innymi polskimi misjonarzami rezydującymi w Czadzie, pomógł nam w pierwszych dniach pobytu w tym kraju. W gościnnym domu misyjnym spokojnie rozpakowaliśmy z kartonów nasze rowery i przygotowaliśmy je do jazdy, której nie mogliśmy się już doczekać.

Już pierwszego dnia dał nam się we znaki nieznosny upał. W dzień temperatury sięgały 38°C, a noce były niewiele chłodniejsze. Jedyne ulewy przynosiły nieco wytchnienia, obniżając temperaturę poniżej 30°C. Tych jednak było stosunkowo niewiele, przynajmniej jak na szczyt pory deszczowej. Z drugiej strony, to nas cieszyło, bo deszcz na nieutwardzonych drogach oznacza trudne do przebycia błoto, o czym mieliśmy się wkrótce boleśnie przekonać.

ŻABIMI SKOKAMI

Początkowo jechaliśmy po dobrej, dość twardej szutrówce o pomarańczowym odcieniu laterytu. Pod koniec upalnego dnia wręcz cieszyliśmy się



FOT. BOJAN SZABDA

z nadciągającej burzy. Jechaliśmy w strugach deszczu przez kwadrans, aż rozmokła droga uniemożliwiła dalszą jazdę. Szczęśliwie natrafiliśmy na małą wiatę krytą strzechą, gdzie spędziliśmy noc. Takiego koncertu nocnych stworzeń – prawdopodobnie różnych gatunków żab, zachwyconych pojawieniem się wody – nie słyszałem nigdy dotąd.

TRÓJKOŁOWCEM PO JEZIORZE
Jezioro Iro leży w południowo-wschodniej części Czadu, a w porze suchej całkowicie wysycha.



FOT. DOMINIK SZMALDA

GDZIE JEST TRZECI BOBAS?

Kobieta z trójką dzieci i dobytkiem
przeprawia się przez rzekę.

W ŻUŹLOWYM STYLU

Po ulewnych opadach
w okolicach Singako był to
nasz typowy styl jazdy.

Kolejnego dnia posuwaliśmy się dalej całkiem sprawnie, osiągając wczesnym popołudniem stolicę regionu – Kyabé. Tam szef lokalnej jednostki tajnych służb – jak się przedstawił – pouczył nas, jak należy się zachować po dotarciu do miejscowości o randze prefektury. W pierwszej kolejności trzeba zameldować się na posterunku policji. Procedura spisywania danych z paszportów odbyła się w sympatycznej atmosferze, bez jakiegokolwiek próby wy-

łudzenia łapówki. Jeszcze kilka razy na całej trasie byliśmy spisywani i sytuacja wyglądała podobnie.

CIĄGNĄC ROWERY

Trzeciego dnia wyprawy, jeszcze wczesnym raniem, dotarliśmy do suprefektury Singako. To niewielka wieś, w której mieliśmy odbić od głównej drogi w kierunku jeziora Iro i miejscowości Boum Kebir, leżącej na jego północnym brzegu. Nie mogliśmy uwierzyć, że niemal ginąca w trawie ścieżka, którą wskazali nam mieszkańcy Singako, to główny szlak do naszego celu. Po chwili znaleźliśmy się w terenie dość gęsto porośniętym akacjami, a ścieżka zamieniła się w ślad, znaczony racicami stad bydła oraz licznymi kałużami. Po godzinie jazdy zaczął padać deszcz. Przeczekaliśmy go pod namiotami i koło południa ruszyliśmy dalej. Gęste błoto skutecznie blokowało koła. Wydłubywaliśmy je czym się dało – patykami, dłońmi – mozolnie wyciągaliśmy kawałek po kawałku gęste spoiwo i wsiadaliśmy na rowery w nadziei na dalszą jazdę. Ale nic z tego – już po kilku obrotach kół sytuacja się powtarzała. Rowerów nie dało się nawet pchać – musieliśmy ciągnąć je za sobą. Dalsze posuwanie się



FOT. DOMINIK SZMALDA



BLADE TWARZE I NIE TYLKO

Dziewczyny z plemienia Gulaj przyglądają się naszej kąpeli w rzece.

w ten sposób nie miało sensu, więc postanowiliśmy zrobić pieszy zwiad. Dziewczyny wraz z rowerami zostały w cieniu akacji, a ja z Andrzejem ruszyłem przez sawannę.

Po blisko godzinie marszu przez busz dostrześliśmy trzy postacie – rosnącego mężczyznę wraz z dwójką chłopców. Wszyscy dzierżyli w dłoniach włócznie i, jak się potem okazało, byli myśliwymi polującymi na gazy. Zarówno oni, jak i my byliśmy mocno zaskoczeni tym spotkaniem, ale przyjazne gesty przełamały obawy i już po chwili rozmawiałem ze starszym mężczyzną. Ten człowiek z głębokiego buszu mówił biegle po francusku. Dowiedzieliśmy się, że pięć kilometrów dalej drogę przecina rzeka, a nad nią leży mała wioska. W znakomitych humorach wróciliśmy do dziewczyn. Blisko ich drzewa spłoszyliśmy kilka sępów – tym razem ucztę nie było.

U GULAJÓW

Do tej pory nocowaliśmy w buszu, z dala od ludzkich oczu, tym razem postanowiliśmy skorzystać



z gościnności tutejszego plemienia. Wjechaliśmy między zabudowania małej wioski, składającej się z 4-5 zagród. Jej mieszkańcy mieli nieco jaśniejszy odcień skóry niż najliczniejsi w tych stronach Murzyni Sara. Ich szef to Gulaj. Zaprowadzili nas na podwórko szefa wioski, gdzie zapadła zgoda na nocleg. Ktoś spytał, czy nie chcemy kupić ryby – przysmaku tutejszych wód – capitain. Cena

PRZYSTANEK TERMITIERA

Ula i Kasia odpoczywają po pierwszych 20 kilometrach jazdy.

Kazimierz Nowak – podróżnik, reporter, fotograf, zasłynął z 5-letniej samotnej podróży rowerowej przez Afrykę w latach 1931-36. Trasę z Trypolisu do Kapsztadu, a następnie z powrotem na północ inną drogą, do Algieru (ok. 40 000 km) przemierzył głównie na rowerze, a także łodzią, konno, na wielbłądzie oraz pieszo. W trakcie podróży pisał liczne reportaże. Wycieńczony trudami podróży, zmarł w niecały rok po powrocie do Polski. Przez dziesięciolecia był zapomniany, dopiero publikacja książki „Rowerem i pieszo przez Czarny Ląd” pod red. Łukasza Wierzbickiego, stanowiącej zbiór reportaży Nowaka, odkryła jego niezwykłą historię na nowo.

DARZ BUSZI

Autor wraz z myśliwymi, których spotkał w akacjowym buszu.





SPRAGNIONYCH NAPOIĆ

Czadyjska kobieta
napełnia nasze
buktaki na wodę.

była bardzo korzystna, więc dobiliśmy targu. Kawalek od nas dorosła, męska część wioski zasiadała na matach do wspólnego posiłku, by z jednej szerokiej tacy zjeść boule (ciasto z prosa) i gotowane ryby. Wydzielili część swojej porcji i poczęstowali nas. Zrewanżowaliśmy się ryżem, przywiezionym jeszcze z kraju, a po chwili także naszą rybą. Objedzeni, zasnęliśmy przy ostatnich głosach kładącej się spać wioski oraz nieodłącznym cykaniu świerszczy.

U WÓD

Następnego dnia wreszcie dotarliśmy do jeziora Iro. Jego spokojna, błada w południowym słońcu tafľa, ciągnęła się po horyzont, którego linia zlewała się z jasnym niebem. W oddali widać było sylwetkę rybaka w pirodze. Porośnięte trzcina brzegi odsłaniały małą plażę. Natychmiast wskoczyliśmy do wody – była mętna, ale każda kąpiel przy takim skwarze jest prawdziwą frajdą.

Po kąpeli ruszyliśmy w kierunku dużej wsi – Boum Kebir (kebir po arabsku znaczy „duży”). Ścieżka wokół jeziora początkowo była przyzwo-

ita, w końcu jednak zniknęła wśród porośniętego trawą zaschniętego błota. Tworzyło ono wyboje, a nam nie pozostawało nic innego, jak cierpliwie na nich podskakiwać. Na dłuższą metę to niezwykle męczące. Z nieba lał się żar, a my w żółtym tempie telepaliliśmy się mozolnie, bez szansy na trochę cienia. Do lustra wody było już za daleko, żeby zbroczyć. Resztki wody z bidonu wylałem na głowę i plecy.

NASZA GRUPA Z KRAJA
Gościmy w uroczym wiosce
plemienia Gulaj.



FOT. KATARZINA FALCOWSKA



OFERTA Z PIERWSZEJ RĘKI

Podróżując po Czadzie bez trudu mogliśmy uzupełnić nasz prowiant. Młody rybak właśnie proponuje nam świeżo złowionego okonia.

Posuwanie się po wielkiej płaskiej przestrzeni jest niewdzięczne. Brak punktów odniesienia utrudnia orientację. Byłem pełen podziwu dla Kasi, która dzielnie prowadziła nasz „peleton”. W końcu zarysowały się przed nami słomiane domki. To jeszcze nie Boum Kebir, ale można było chwilę odetchnąć w cieniu. Tym bardziej, że w jednym z domków mieścił się sklep spożywczy. Nie było lodówki i zimnego piwa, ale nam wystarczył cień i woda ze studni, nieco chłodniejsza niż ta z naszych bidonów.

ZNAJOMI NOWAKA

Oprócz dotarcia do jeziora Iro, naszym celem było odnalezienie pewnego plemienia. Kazimierz Nowak opisał i wykonał serię zdjęć kobietom Sara Dzendzi, które nosiły w wargach różnej wielkości skórzane krążki. Zabieg ten mocno zniekształcał ich twarze, utrudniając wręcz przyjmowanie posiłków. Jest kilka teorii wyjaśniających ten rytuał. Najpowszechniejsza mówi o tym, że kobiety niektórych plemion afrykańskich oszpecały się w taki sposób celowo, by uniknąć porwania przez

handlarzy niewolników. Od samego początku wyprawę pytaliśmy w napotkanych wioskach o Sara Dzendzi, ale za każdym razem odpowiadano nam, że o ile w ogóle jeszcze takie plemię żyje, to pewnie w pobliżu jeziora Iro, ale nie umiano nam powiedzieć, gdzie dokładnie. W dodatku wszyscy zgodnie twierdzili, że kobiet z krążkami w wargach dziś już w ogóle nie ma.

Jadąc dalej szlakiem wokół jeziora, przejeżdżaliśmy przez kolejne wioski, za każdym razem pytając o Dzendzi. Byliśmy już zrezygnowani i uznaliśmy, że plemię albo wymarło, albo wyemigrowało w zupełnie inne regiony. W jednej z kolejnych wiosek dla zasady zapytaliśmy o poszukiwane plemię i usłyszeliśmy, że zamieszkuje ono drugą część wioski! I rzeczywiście, ludzie mieszkający z drugiej strony studni potwierdzili, że są Sara Dzendzi. Niestety nikt z nich nie mówił po francusku, więc pozostawało porozumiewać się tylko na migi. Pokazaliśmy i sprezentowaliśmy im pocztówki Nowaka z wizerunkami ich przodków i zrobiliśmy sobie wspólne pamiątkowe zdjęcie. Zgodnie z przypuszczeniami, ich kobiety nie nosiły już szpecących ozdób. Pojechaliliśmy dalej w poczuciu spełnionej misji.

KOBIETA Z PLEMENIA SARA KABA

Jedna z nielicznych, które do dziś noszą tradycyjne skórzane krążki w górnej wardze.



FOT. KATARZYNA FALKOWSKA

W kolejnej wiosce o nazwie Mouffa, przy nabieraniu wody ze studni, pokazaliśmy zainteresowanej grupce mieszkańców nasze pocztówki. Ku naszemu niedowierzaniu, żona szefa wioski stwierdziła, że u nich jeszcze żyją kobiety z takimi krążkami. I rzeczywiście, pod jedną z chat siedziała starsza pani, a w jej górnej wardze widniał skórzany krążek wielkości dużej monety. Z pomocą „sołtysowej” próbowaliśmy opowiedzieć kobiecie, kim jesteśmy i co tutaj robimy. W ruch poszły pocztówki ze zdjęciami Kazika, znowu zrobiliśmy sobie wspólne zdjęcia. Mieszkańcy wioski przynależą do plemienia Sara Kaba, więc najwidoczniej nie tylko Sara Dżendzi nosili krążki. Na koniec naszej wizyty w Mouffa zostaliśmy zaproszeni na pokaz tradycyjnego tańca. Wszyscy ustawili się w krąg i zaczęli klaskać w specyficznym rytmie, wykonywać dynamiczne ruchy ramionami, a nagie stopy wystukiwały rytm na klepisku. Staruszka z krążkiem w wardze zaintonowała śpiew. Byliśmy wszyscy pod wielkim wrażeniem prezentu, jakim był ten występ specjalnie na naszą cześć. Będziemy długo pamiętać wizytę w Mouffa.

KONIEC ETAPU

Postanowiliśmy, że nie będziemy wracać tą samą drogą. Już zaprawieni w boju uznaliśmy, że znów

warto zaryzykować i przedzielaliśmy się przez nieznany teren kolejne kilka dni. Przebyliśmy liczne przeszkody terenowe, nieraz gubiąc przy tym szlak, ale w końcu szczęśliwie, dziewiątego dnia wyprawy, dotarliśmy z powrotem do Sarh. Po dwudniowym odpoczynku ruszyliśmy dalej, tym razem na zachód, w stronę świętej rzeki Logone, ale to już zupełnie inna historia... ○



FOT. DOMINIK SZMAJDA

Podróż czwórki rowerzystów przez Czad w lipcu 2011 r. była jednym z etapów niedawno zakończonego projektu podróżniczego „Afryka Nowaka”. Projekt zakładał powtórzenie, w formie sztafety, afrykańskiej trasy przedwojennego polskiego podróżnika – Kazimierza Nowaka. Uczestnicy: Katarzyna Falkowska, Ula Wilczyńska-Kalak, Andrzej Zadworny, Dominik Szmajda

Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróży. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu, po-

dobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowitsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!

Nasza Prenumeratorka, Pani Małgorzata pisze :

Niedawno byłam w Gruzji i rozsmakowałam się w tamtejszej kuchni. Bardzo przypadło mi do gustu danie chaczapuri, które nasza przewodniczka nazywała „gruzińską pizzą”. Jest to placek z owczym serem, który podawano jako jedną z przystawek. Przed wyjazdem przewodniczka przyniosła mi przepis spisany przez swoją mamę. Nie miałam jeszcze okazji przyrządzić sama tego dania, może Redakcja zechce spróbować?

CHACZAPURI

à la Poznaj Świat

Mąkę zagnieść z masłem. Do maślanki dodać sodę i ocet (uwaga – po dodaniu octu maślanka pieni się), połączyć z mąką i ugnieść ciasto. Z pomocą wałka formować placki pożądanej wielkości. Na jednym placku rozłożyć warstwę sera grubości ok. 2 cm, przykryć drugim plackiem i zagnieść razem brzegi. Wstawić do piekarnika rozgrzanego do 180 stopni i piec około pół godziny.

SKŁADNIKI (dla 4 osób):

czas przygotowania: 1 godzina.

0,5 mąki

Pół kostki masła

250 ml maślanki

łyżeczka sody spożywczej

łyżka octu

0,5 słonego sera owczego

(może być bryndza lub ser szopski)



*Poznaj Świat
od kuchni*



Niedawno obchodziła setną rocznicę urodzin. Prezydent Bronisław Komorowski pojechał do niej do Poznania, gdzie wręczył jej Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. Z jedynym swego rodzaju uzasadnieniem: „W uznaniu wybitnych zasług w pracy naukowo-badawczej w dziedzinie medycyny tropikalnej i leczenia trądu, za dawanie świadectwa miłości do człowieka i niesienia pomocy osobom potrzebującym, za osiągnięcia w pracy misyjnej”. W ten sposób uhonorował niezwykle jubileusz lekarki, która spędziła w Ugandzie 43 lata wśród trędowatych.

MATKA TRĘDOWATYCH

Rówieśniczki

Dr Wanda Błęńska urodziła się niemal w tym samym czasie co Matka Teresa z Kalkuty (o rok później), ale w zupełnie innych okolicznościach poświęciła życie niesieniu pomocy najbardziej poszkodowanym przez los. W Afryce doczekała się przydomka Matka Trędowatych. Różniło je to, że rówieśniczka z Macedonii, z pochodzenia Albanka, złożyła śluby zakonne, będąc przedtem, od 1929 roku, nauczycielką geografii w szkole przyklasztornej w Indiach, a natchnienia, nakazującego jej poświęcić życie misji charytatywnej wśród biednych i chorych doznała w 1946 r., w Dardżylingu, u podnóża Himalajów. Założyła wówczas Zgromadzenie Sióstr Misjonarek Miłości i wkrótce utworzyła pierwsze ze swych licznych schronisk dla osób ciężko chorych i umierających. W 1961 r. z jej inicjatywy w Kalkucie powstał ośrodek dla trędowatych, zwany Miastem Pokoju. Wykształcenia lekarskiego Matka Teresa nie miała, odbyła jedynie krótki staż pielęgniarski w Indiach.

Nasza rodaczka skończyła medycynę w Poznaniu, uzyskując dyplom lekarski w 1934 roku. O Matce Teresie w Polsce, a i na świecie, nikt wtedy jeszcze nie słyszał. Dr Wanda Błęńska od najmłodszej młodości chciała być lekarką na misjach. Przed wojną nie było to możliwe. Kiedy zażądano od niej, aby najpierw wstąpiła do klasztoru, wyznała szczerze: „Nie mam powołania”. Swoje zamierzenie spełniła znacznie później dzięki typowo polskiemu splotowi losów. Najpierw w latach 1934-1936 pracowała w Szpitalu Miejskim w Toruniu. Wojna zaskoczyła ją w Szpitalu Morskim w Gdyni. W czasie

wojny wstąpiła do wojskowej organizacji podziemnej Gryf Pomorski. W 1944 r. została aresztowana. Koniec wojny zastał ją w Gdańsku, gdzie organizowała filię Państwowego Zakładu Higieny i wykładała bakteriologię w Szkole Pielęgniarek. Wtedy właśnie dotarł do niej list od brata, oficera rezerwy, który po wyjściu z obozu jenieckiego wrócił w Niemczech do zawodu prawnika. Był ciężko chory, chciała go zobaczyć i osobiście udzielić mu pomocy. Jej podania, składane za pośrednictwem Ministerstwa Zdrowia, systematycznie odrzucała bezpieka.

Gdy dowiedziała się, że do Niemiec odpływa statek z polską załogą, przewożący konie, umówiła się z marynarzami i przepłynęła do Hamburga w bunkrze na węgiel. Była pewna, że w podobny sposób do Polski wróci. Brata odnalazła w Hanowerze. Wymagał dłuższej opieki. Wstąpiła zatem do kobiecej służby wojskowej przy dywizji generała Maczka, potem podjęła pracę w szpitalu organizacji UNRRA oraz w polskich szpitalach wojskowych w Niemczech, co przekreślało możliwość powrotu do kraju. Ale dawało okazję ukończenia kursu medycyny tropikalnej w Hamburgu i Liverpoolu. Tak rozpoczął się następny rozdział jej życia.

Powitanie z Afryką

Na kwaterze, którą wynajmowała w Anglii, mieszkał misjonarz Robinson ze Zgromadzenia Ojców Białych, działających w Afryce. Kiedy zwierzyła mu się ze swoich marzeń, wskazał Ugandę, gdzie jeden z tamtejszych biskupów szukał lekarza do mającego powstać wkrótce leprozorium. Nazwa ta, wywodząca się od tafińskiego

słowa lepra, czyli trąd, oznacza zamknięty zakład leczniczy, w którym ludzie dotknięci tą chorobą izolowani są od zdrowych albo kolonię dla trędowatych, gdzie wolno im spotykać się z rodzinami. Odpowiedź nadeszła szybko. Dr Wanda otrzymała cztery dni na spakowanie się i załatwienie formalności wyjazdowych. Dopiero na statku miała czas na przeczytanie książki o trądzie. Wylądowała w Mombasie w marcu 1950 roku. Ojcowie Biali towarzyszyli jej w podróży do Nairobi. Gdy dotarła do Ugandy samotnie, nikt nie czekał na nią na dworcu kolejowym, gdyż księża, którzy mieli ją odebrać, zaproszeni zostali na ucztę do króla z okazji jakiejś uroczystości państwowej. Nie znała miejscowego języka, nie posiadała tutejszych pieniędzy, życzliwi ludzie skierowali ją do sióstr franciszkanek. Gdy dotarła do biskupa, który ją zaprosił, okazało się, że osiedle dla trędowatych jest dopiero w projekcie. Przez rok pracowała w szpitalu ogólnym w Fort Portal. Po upływie tego czasu odwiedziła dwa już istniejące ośrodki dla trędowatych, prowadzone przez siostry franciszkanki w miejscowościach Nyenga oraz Buluba.

Polska cudotwórczyni

Obydwa ośrodki nie miały lekarza. W Bulubie nad Jeziorem Wiktorii istniało osiedle dla trędowatych, gdzie postanowiła się osiedlić. Do pracy dojeżdżała początkowo z innego dystryktu, na motocyklu. Chorzy w Bulubie mieszkali w nędznych dormitoriach, stanowiących rodzaj przytułku złożonego ze wspólnych sal szpitalnych, przypominających bardziej noclegownię niż zakład leczniczy.



Najpierw zbudowała prowizoryczną izbę chorych, potem pierwszą salę operacyjną w pokoiku pozbawionym sufitu, ale osłoniętym dachem. Zaczęła od ratowania ich oczu. Równocześnie szkoliła pielęgniarki i asystentów. Niektórzy pacjenci dojeżdżali do szpitala z odległości 150-200 km. Nie dla wszystkich starczało miejsca, gdyż z reguły zjawiali się z rodzinami. Na początku lat pięćdziesiątych miała pod opieką dwadzieścia cztery tysiące chorych na trąd, cierpiących także na inne choroby, z których trzeba było ich najpierw wyleczyć. Ogólne szpitale ich nie przyjmowały, gdyż panował wtedy duży lęk przed trądem. Wielu ludzi nie wierzyło w europejską medycynę. Byli przekonani, że na trędowatych rzucili klątwę czarownicy. Dr Błęńska kierowała się dewizą, że wszystkich pacjentów należy najpierw otoczyć miłością, pielęgniarki i asystentów przekonywała, że leczyć trzeba przede wszystkim nie trąd, ale ludzi, którzy na niego chorują. W czasie kontaktów z chorymi nigdy nie używała rękawiczek, łamiąc przesady związane z trądem. Mawiała: „Chory nie może czuć, że się go boją lub brzydzą”. Operacje przeprowadzała początkowo na polowym łożku. W 1952 r. zajęła się badaniem wycinków skóry w celu ustalenia diagnozy i aktywności trądu.

Więść o niezwykłej białej lekarce, którą miejscowi tytułowali „dokta”, przyciągnęła do jej ośrodka naczelnego leprologa Ugandy, który zaczął się starać o fundusze na rozbudowę ośrodka. Wkrótce do Buluby przyjechali leprologi z Londynu, którzy pomogli Wandzie Błęńskiej stworzyć nowoczesną pracownię histologiczną. Pewien dziennikarz niemiecki napisał o niej artykuł, po którym mieszkańcy miasta Hilden w Nadrenii-Westfalii sypnęli pieniędzmi, a z Würzburga przyjechał hrabia Balleström, który zbudował w Bulubie

nowy szpital ze znakomicie wyposażoną salą operacyjną, gabinetami fizykoterapii i terapii zajęciowej, wśród której niezmiernie ważny okazał się warsztat... szewski.

Akukume!

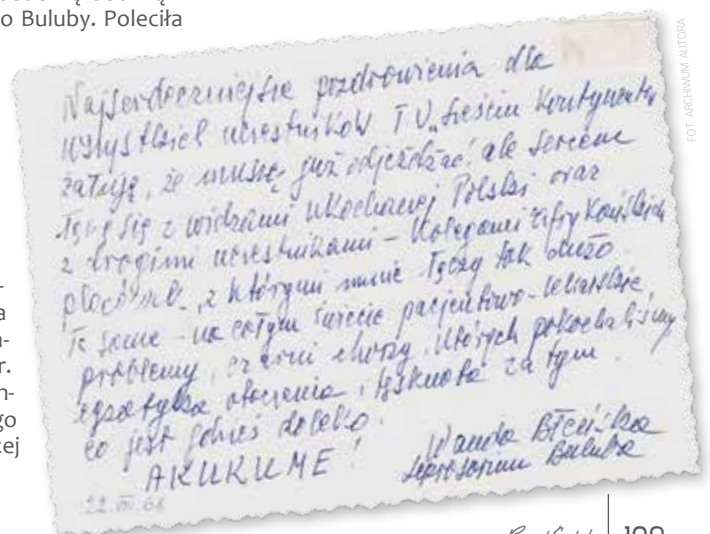
I tu czas najwyższy opowiedzieć kiedy i w jaki sposób nawiązałem osobisty kontakt z dr Wandą Błęską. W jednym z pierwszych telewizyjnych odcinków „Klubu sześciu kontynentów”, w 1968 r. przedstawiłem program „Bwana Mganga znaczy lekarz”, w którym polscy medycy opowiadali o swej pracy w Afryce. Nie pamiętam, czy padło w nim nazwisko dr Wandy Błęskiej, ale w kilka dni później otrzymałem list od jej przyjaciółki, nauczycielki akademickiej z Warszawy, Zofii Florczak, która w 1967 r. na zaproszenie dr Wandy Błęskiej pomagała jej przez kilka miesięcy w Bulubie. Okazało się, że dr Wanda Błęńska oglądała mój program podczas wakacyjnego pobytu w kraju i przesłała mi za jej pośrednictwem swoje zdjęcie zrobione w szpitalu trędowatych z niezmiernie ciepłą dedykacją dla jego uczestników i widzów z ukochanej Polski. Napisana była piękną polszczyzną i zakończona ugandyjskim pozdrowieniem „Akukume!”.

Natychmiast skontaktowałem się z nadawczynią listu, aby zaprosić dr Wandę Błęską na następne spotkanie w „Kawiarence pod Globusem”, które miało być emitowane na żywo (nie były wówczas znane zapisy kamerą wideo) za miesiąc, ale naszą rodaczkę obowiązki wzywały wcześniej do Buluby. Poleciła mi wyjeżdżając do niej wkrótce swoją przyszłą wieloletnią współpracowniczkę, Janinę Bartkiewicz z Torunia. I zapraszała serdecznie do siebie. Nie udało mi się z tego zaproszenia skorzystać, Telewizja Polska nie miała funduszy na takie fanaberie. Ale w 1969 r. wybierał się do Ugandy dziennikarz jednego z pism katolickich Andrzej

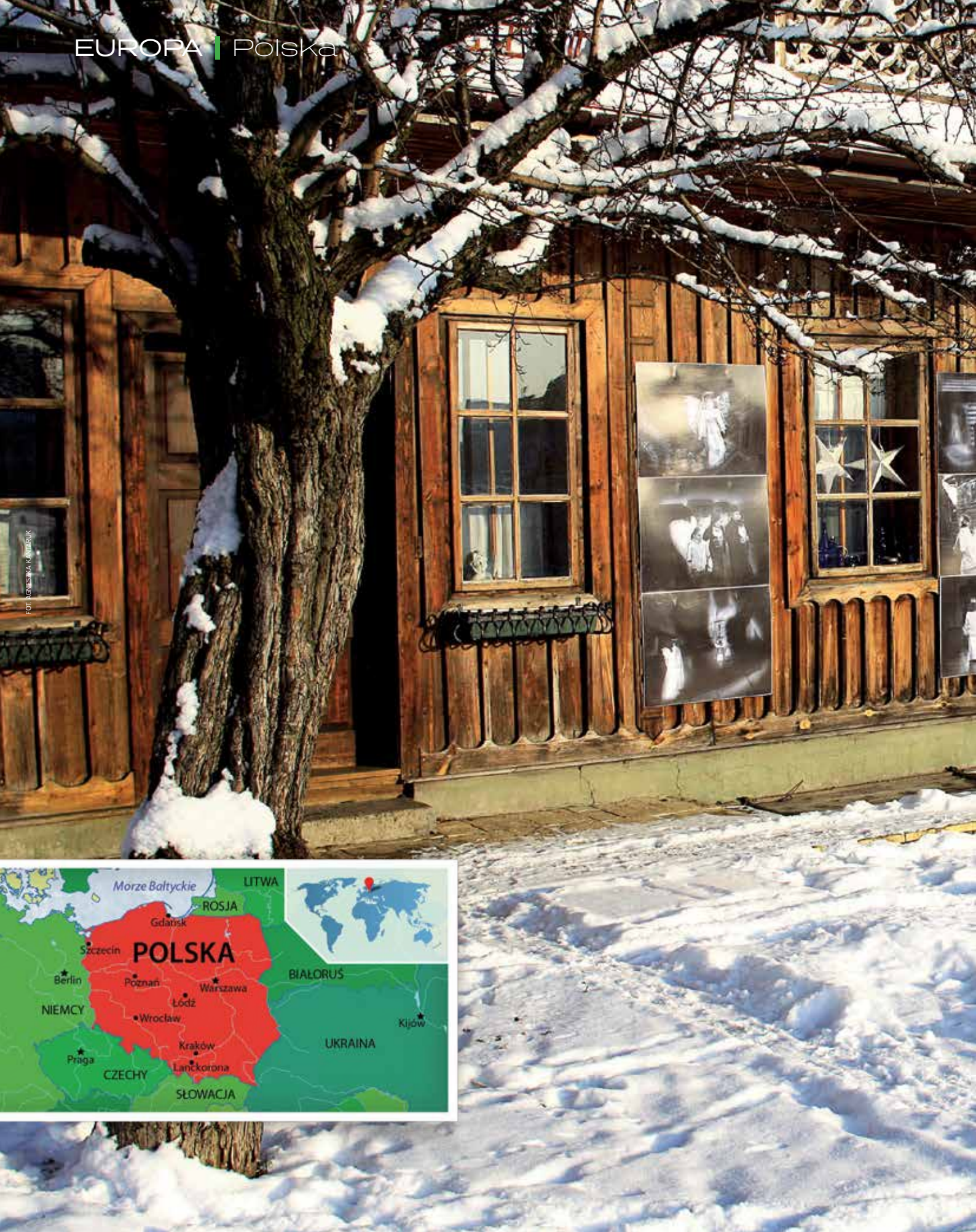
Charlemagne, który zainspirowany przeze mnie nauczył się obsługi kamery filmowej i nakręcił krótki film o polskich lekarzach leczących trąd w Ugandzie. Odwiedził wówczas współpracującego z dr Błęską doktora Bohdana Kozłowskiego w miejscowości Nyenga oraz w Bulubie panią Wandę, która wtedy uznawana już była za najlepszego leprologa w Afryce Wschodniej. W 1971 Janina Bartkiewicz spędzała urlop w kraju. Oboje przedstawili swoje relacje z Buluby w kolejnym „Klubie sześciu kontynentów”, tym razem zatytułowanym „Lekarze i czarownicy”, w którym dr Błęńska znów była obecna zaocznie.

Zapytałem wówczas, o co chodziło z tym warszawskim szewskim w Afryce, gdzie większość ludzi chodzi, a przynajmniej wówczas chodziła boso. Zwłaszcza że nazwała panią Bartkiewicz swoim wielkim „butologiem”. Otóż jej kolejną przyjaciółką, która ukończyła specjalne kursy u profesora Degi, wspaniale rozwinęła rehabilitację i pracownię protez obuwia ortopedycznego, w którym chorzy z amputowanymi stopami potrafili nawet biegać. Obmyśliła sztuczne stopy umocowane w skórzanym obuwiu i przytwierdzone do kikutów nóg w taki sposób, aby nie powstawały rany od otarcia. Pacjenci przestali podierać się szczydłami i chodzić na drewnianych kołkach, jakie znamy z filmów o piratach. Odzyskali wiarę w siebie i tak potrzebną każdemu człowiekowi godność.

Osobiście miałem zaszczyt poznać dr Wandę Błęską dopiero po jej powrocie do kraju, po zakończeniu trwającej 43 lata misji charytatywno-medycznej. Poleciłem ją do programu „Klub Podróżników”, prowadzonego przez moich młodszych kolegów Jarosława Kreta i Edytę Mikołajczyk. „Jest pan bardzo uparty” – powiedziała dr Wanda. I dodała: „Wiedziałam, że się kiedyś spotkamy. Nie sądziłam jednak, że już w zupełnie innej Polsce”. ☉



FOT. IGNESEK KAWCZYK





Agnieszka Kantaruk

ANIELSKIE MIASTECZKO



FOT. AGNIESZKA KANTARVA

Lanckorona położona w Beskidzie Makowskim to miejscowość od lat hołubiona przez artystów. Śpiewał o niej Marek Grechuta, na płótnach i kliszach uwieczniali ją miłośnicy sztuk plastycznych. Nie bez przyczyny – lanckoroński rynek, przy którym zachowała się XIX-wieczna architektura drewniana, to prawdziwa perełka, a zarazem tylko jedno z wielu pięknych miejsc, które warto tu odwiedzić.

O Lanckoronie mówi się, że to miasto aniołów. Z jednej strony, dlatego że w tutejszych pracowniach artystycznych powstają liczne podobizny tych posłańców niebios – ceramiczne, gliniane, drewniane i dziergane na szydełku – a z drugiej, bo to miejsce gromadzące szlachetnych ludzi. Coś musi być na rzeczy z aniołami sprawującymi pieczę nad Lanckoroną – przez stulecia przetrwała różne dziejowe zawieruchy, a dziś przynosi kojący

odpoczynek każdemu, kto się tu zjawi. „U nas czas płynie wolniej” – mówią rdzenni mieszkańcy i nie sposób z nimi polemizować.

W ZAWIERUSZE HISTORII

Historia Lanckorony rozpoczyna się na przełomie XII i XIII wieku, kiedy na szczycie Góry Lanckorońskiej powstał niewielki gródek strażniczy,

a pod nim osada usytuowana na stromym zboczu. Istotny przyczynek do rozwoju Lanckorony miał Kazimierz Wielki, który zarządził budowę murewanego zamku w miejscu gródka. Twierdza miała za zadanie strzec granicy ze Śląskiem i drogi do Krakowa. Dokładna data budowy zamku nie jest znana, ale wiadomo, że istniał już, gdy w roku 1336 król ufundował kościół pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela. O ile po zamku pozostały jedynie skromne ruiny, to kościół zachował się do dziś – znajduje się w odległości 50 metrów od rynku.

Rok 1366 przyniósł kolejne ważne dla Lanckorony wydarzenie: dotychczasowej osadzie zostały nadane prawa miejskie, a wraz z nimi liczne przywileje dla mieszkańców. Również król Władysław Jagiełło doceniał obronne położenie lanckorońskiego zamku oraz dynamiczny rozwój miasta. Za panowania władcy, w 1410 roku Lanckorona stała się siedzibą starostwa niegrodowego. Przez następne stulecia miasto, nadal będące królewską włością, znajdowało się w rękach starostów z wielu sławnych rodów: m.in. Lanckorońskich, Zebrzydowskich, Czartoryskich, Myszkowskich, Wielopolskich. W roku 1655 dotarli tu Szwedzi. Spalili część domów i zajęli zamek. Najeźdźców przepędził podstarość lanckoroński Jan Zarzecki na czele oddziałów partyzanckich. Kolejne niepokoje nękały Lanckoronę w czasie Konfederacji Barskiej i to właśnie wtedy zamek popadł w ruinę, podobnie jak miasto, które – już po pierwszym rozbiórze Polski w 1772 roku – znalazło się w granicach zaboru austriac-

kiego. Udręczone działaniami zbrojnymi padło także ofiarą płomieni – w roku 1868 wybuchł wielki pożar, który doszczętnie strawił większość budynków. Po tym zdarzeniu przystąpiono do odbudowy miasta według starego planu. Tak powstało z popiołów dzisiejsze miasteczko z najbardziej pochyłym i najwyższym położonym rynkiem w Polsce, który otaczają zabytkowe, drewniane domy: przetrwały bez uszczerbku ponad wiek.

ARKA SZTUKI

Podczas słynnego pożaru ocalał jeden z piękniejszych lanckorońskich domów zwany Arką, który, choć jest jednym z najstarszych obiektów, wciąż ma się znakomicie. Spacer po współczesnej Lanckoronie można zacząć właśnie tutaj. Arkę do życia przywróciło małżeństwo artystów, Ewy i Jacka Budzowskich. Zabytkowy dom kupili 14 lat temu i odrestaurowali, a od 2010 roku udostępniają go zwiedzającym. Teraz działa tutaj kawiarnia i galeria prac właścicieli, którzy są cenionymi artystami w kraju i za granicą.



POSŁANIEC NIEBIOS

Skrzydłaci opiekunowie są symbolem Lanckorony. Co roku odbywa się tutaj festiwal „Anioł w miasteczku”.



ARKA LANCKORONY

Arka to dom pełen sztuki. Mieści się w nim galeria, odbywają się warsztaty artystyczne i wieczorne koncerty.

– *Zanim jeszcze otworzyliśmy Arkę, powstała w Lanckoronie nasza autorska galeria* – mówi Jacek Budzowski. Można w niej zobaczyć i kupić ceramikę dekoracyjną i użytkową wykonaną przez utalentowane małżeństwo.

OSŁONA OD CODZIENNOŚCI

Różnorodnych galerii jest w Lanckoronie więcej. Są one najbardziej wyrazistą wizytówką tego miasta. W przydomowych warsztatach pracują garncarze, rzeźbiarze, malarze, a w słoneczne dni, niczym magiczne wrota, otwierają się drewniane bramy drewnianych domów i zapraszają zwiedzających do środka. Można wówczas nabyć wytwory rękodzieła. Ale uwaga: przed przyjazdem koniecznie należy zaopatrzyć się w zapas gotówki – Lanckorona, chociaż jest miejscowością letniskowo-turystyczną, nie posiada ani jednego bankomatu. Najbliższego trzeba szukać w Kalwarii Zebrzydowskiej, oddalonej o 7 km.

Współczesna Lanckorona kojarzona jest również jako miejsce różnego rodzaju plenerów artystycznych. Odwiedzają ją regularnie plastycy i fotografowie. Na całą Polskę miasteczko rozślawił Marek Grechuta, śpiewając:

„Lanckorona, Lanckorona
rozłożona gdzie osłona
od spiekoty i od deszczu
od tupotu szybkich spraw”.

Miasteczko zagościło także w wydanej w 2011 roku bestsellerowej powieści Agnieszki Błotnickiej pt. „Koniec wiosny w Lanckoronie”, której akcja rozgrywa się głównie tutaj.

– *Jest to miejsce dokładnie takie, o jakim śpiewa Marek Grechuta: miejsce, które daje osłonę, daje spokój. Tutaj moja bohaterka zaczyna się regenerować, z dala od stresu i codziennych spraw* – mówi Agnieszka Błotnicka. – *Lanckorona była kiedyś o wiele bardziej doceniana, była niemalże miejscem kultowym. Tu jest trochę tak, jakby się czas zatrzymał. Chodzi o koloryt chałupin, o anioły w oknach, które sprawiają, że łapie się troszeczkę inne spojrzenie. Na ich tle nasze problemy nabierają innego wymiaru, przestają być tak dramatyczne, jak o nich do tej pory sądziliśmy* – dodaje pisarka, wystawiając miasteczku celną ocenę.

ZACNI GOŚCIE TADEUSZA

W lanckorońskie progi przybywał nie byle kto. W otwartym w 1924 roku pensjonacie „Willa



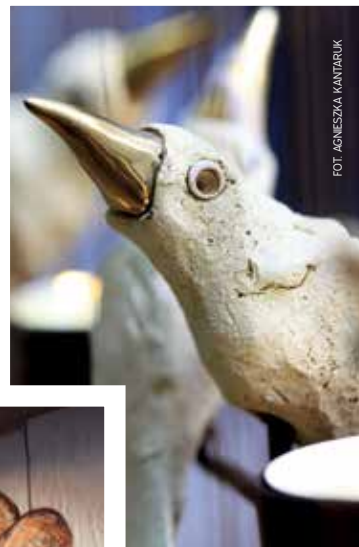


NA POCHYŁY PLAC...

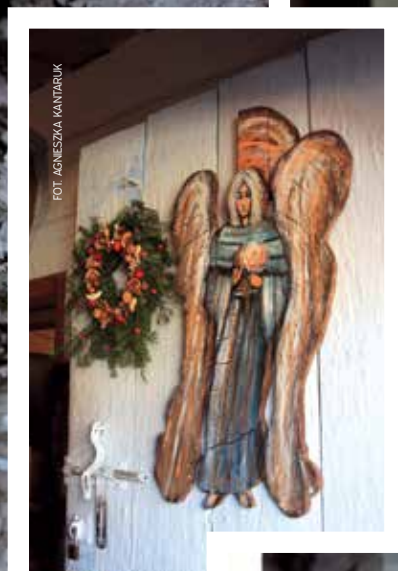
Lanckoroński rynek ze wszystkich stron otaczają zabytkowe, drewniane domy. To jeden z najbardziej spadzistych rynków w Polsce – kąt spadku wynosi aż 9,5 procenta.



FOT. AGNIESZKA KANTARUK



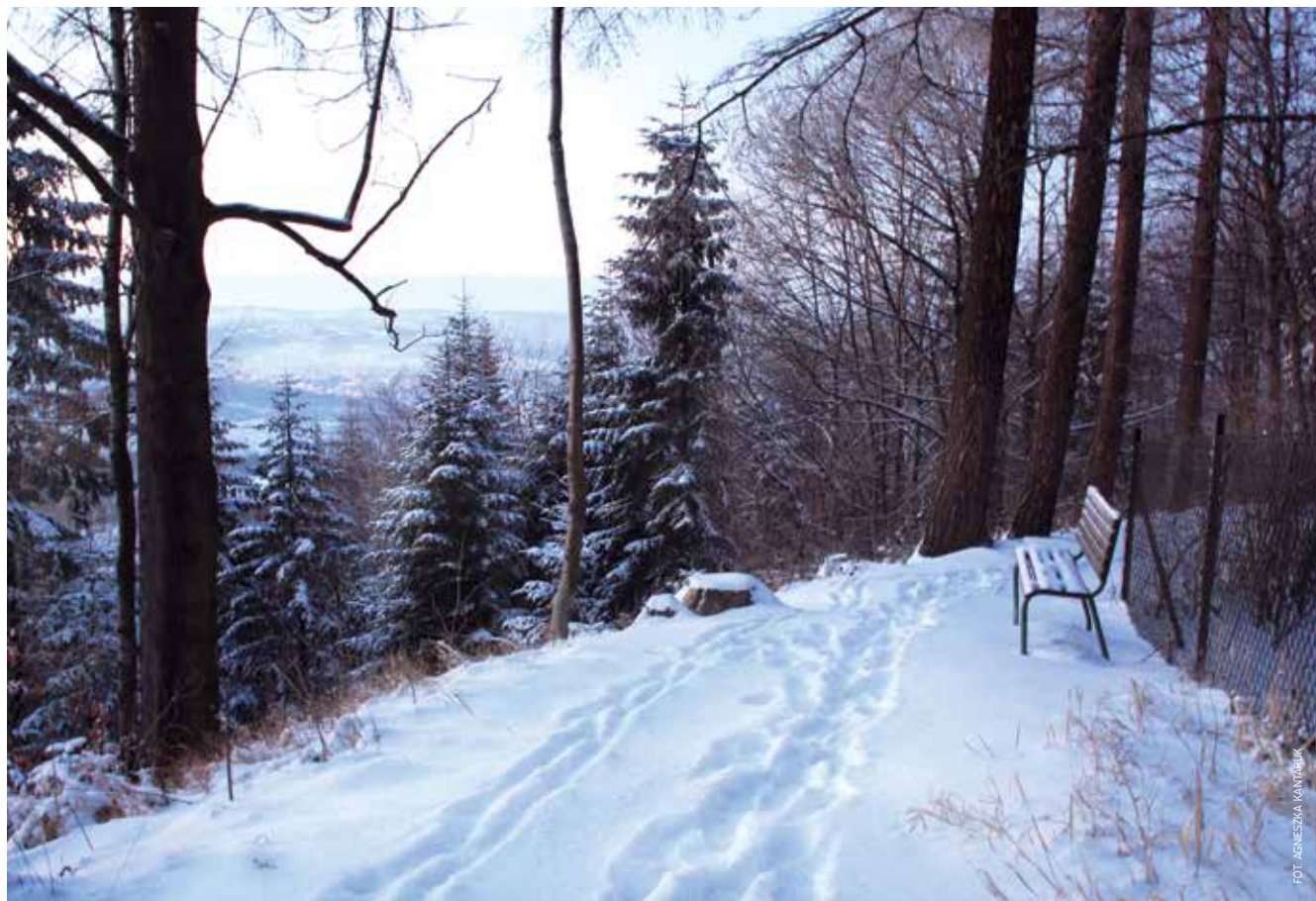
FOT. AGNIESZKA KANTARUK



FOT. AGNIESZKA KANTARUK



FOT. AGNIESZKA KANTARUK



ŁAWECZKA Z WIDOKIEM

Na zboczach Góry Lanckorońskiej dostępne są dwa punkty widokowe. Łatwo do nich dotrzeć – i warto.

Tadeusz” gościli Józef Piłsudski, Józef Beck, Ignacy Mościcki, a w latach późniejszych także Karol Wojtyła. Sam pensjonat stanowi nie lada atrakcję. Jest najdłużej działającym w Polsce obiektem hotelowym należącym od początku do tej samej rodziny. To zarazem ciekawe założenie architektoniczne: okazały drewniany dom z zabytkowym umeblowaniem, otoczony jest rozległym ogrodem, w którym ważną rolę pełni odkryty basen. Jednak aby w to miejsce trafić, trzeba go dobrze poszukać. Willa skryta jest w lesie, nie wiodą do niej żadne reklamy ani szyldy. Z wieloma atrakcjami Lanckorony jest podobnie, dlatego dobrym pomysłem jest rozpoczęcie zwiedzania od wizyty w Izbie Muzealnej im. prof. Antoniego Krajewskiego, mieszczącej się przy rynku. Tam można spotkać pasjonatów, przed którymi Lanckorona nie ma żadnych tajemnic – oni chętnie wskażą ścieżki do interesujących miejsc. Najbardziej dociekliwi mogą skorzystać z wycieczek i prelekcji proponowanych przez Izbę. Jedne z najciekawszych to: „Życie codzienne dawnych lanckoronian” i „Tajemnice dawnej zabudowy Lanckorony”.

PANORAMA LANCKOROŃSKA

Warto wejść na wznoszącą się nad miastem Górę Lanckorońską (550 m n.p.m.), która od 1999 roku należy do Parku Krajobrazowo-Kulturowego Kalwaria Zebrzydowska, wpisanego na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Na jej zboczach znajdują się dwa punkty widokowe, z których przy dobrej widoczności, patrząc na południe, można zobaczyć panoramę Tatr albo Diablaka, czyli Babiej Góry. Patrząc na północ, widać nawet Kopiec Kościuszki w Krakowie. Przed oczami podróżnych rozpościera się również wspaniały widok na Sanktuarium Pasyjno-Maryjne w Kalwarii Zebrzydowskiej.

W pogodny dzień można też wybrać się na spacer po lesie jedną z dobrze przygotowanych tras w obrębie Góry Lanckorońskiej. Alejki i ścieżki liczą łącznie 10 km, prowadzą po zróżnicowanym terenie i mają zapadające w pamięć nazwy pochodzące jeszcze z lat dwudziestych XX wieku, takie jak Aleja Zakochanych czy Aleja Cichych Szeptów. Historia na każdym kroku przeplata się tutaj ze współczesnością – właśnie w tym tkwi niezaprzeczalny urok Lanckorony. ○



ROZMOWY MARKA SZPENDOWSKIEGO Z LUDŹMI ZAPRACOWANYMI

Rozmowa z Krzesimirem Dębskim – kompozytorem, muzykiem, instrumentalistą.

Marek Szpendowski: Jesteśmy sąsiadami, ale łatwiej nam spotkać się w Los Angeles niż w Polsce. Ostatnio widzieliśmy się w czasie rozdania Oscarów.

Krzesimir Dębski: Dużo tutaj pracuję, więc też sporo czasu spędzam w samym Los Angeles, a przy okazji zwiedzam okolice.

Zapoznaj się także z historią tych miejsc?

Z chęcią opowiem o miejscowości w północnej Kalifornii, która nazywa się Paso Robles. Jest to rejon winiarski, nieco podobny do Toskanii. Swoją tożsamość mieszkańcy chcą oprzeć na postaci naszego Jana Ignacego Paderewskiego, który miał tam olbrzymie posiadłości. Był pierwszym winiarzem, sadzonki przywoził ze swoich majątków we Francji. Odkrył tam także wody lecznicze i założył SPA. Miał tam też sady, plantacje orzechów i w końcu wydobywał ropę naftową. Niestety, nie wiem jeszcze jak to się stało, że wszystko stracił.

Pewnie wkrótce się dowiesz?

Jeśli nie ja, to zrobi to nasz znajomy Marek Żebrowski, który jest dyrektorem Polish Music Center i napisał książkę o tym kompozytorze, który dla Amerykanów był wówczas idolem na dzisiejszą skalę Michaela Jacksona. Paderewski zarabiał miliony dolarów. Jeździł przez Stany swoim pociągiem, woził kilka fortepianów, 200 papug i cały dwór. Teraz w Paso Robles odbywają się festiwale Paderewskiego. Gra się w salach koncertowych, szkołach, ale także między beczkami. Miejscowi winiarze twierdzą, że w ten sposób powstrzymują zbyt szybką fermentację win.

Jesteś podróżnikiem po gatunkach muzycznych. Komponujesz piosenki, napisałeś muzykę do ponad 100 filmów, zajmujesz się muzyką poważną, ale jako skrzypek grasz jazz.

W czasie dużej aktywności zespołu String Connection w ciągu 6 lat zagraliśmy ponad 1000 koncertów w 25 krajach. To spora dawka podróży. Nadal gram, więc miejsc przybywa.

Do Afryki też pojechałeś zawodowo.

Napisałem muzykę do filmu „W pustyni i w puszczy”. Całość nagrałem w Polsce i do RPA polecałem dograć chóry. I tu zaczęły się problemy. Wspaniały chór Zulusów Soweto nie znał nut i uczył się śpiewać ze słuchu na zasadzie naśladownictwa. Musiałem im podawać dźwięki głosem. Wszystko natychmiast zapamiętywali i wiernie rejestrowali, jak magnetofony. W tym także moją barwę głosu. Przyjechałem do Afryki, by nagrać ich charakterystyczną barwę... a tu ponad 40 facetów zaśpiewało moim baranym głosem – to było koszmarnie. Dużo czasu zajęło mi wytłumaczenie, by śpiewali po swojemu.

Jam session to część tradycji muzyki jazzowej. To pozwala poznać ludzi, co bardzo lubisz.

Tak się składa, że często jestem zapraszany na przyjęcia, nawet przez nieznanymi. Kiedyś po koncercie pojechałem do posiadłości pod Paryżem. Po kolacji padło hasło: idziemy się kąpać w Sekwanie – bo wówczas można się jeszcze było kąpać w tej rzece. Wskakujemy do wody, a w posiadłości naprzeciwko pewna pani, dość skąpo ubrana, albo nawet wcale, wpadła na podobny pomysł. I tak poznałem piękną Catherine Deneuve.



FOT. Z PRACOWNI ZBORCÓW KRZESIMIRA DĘBSKIEGO

Czy spotkało Cię coś niezwykłego podczas podróży zawodowych?

To było na Sycylii. Po koncercie podszedł do mnie starszy człowiek, wyciągnął pomięte nuty napisane niewprawną ręką i podał mi je. Tego się nie dało zagrać, więc trochę improwizowałem. Gdy skończyłem, zobaczyłem, że ten człowiek płacze. To było pierwsze i jedyne wykonanie jego utworu. Był to najskromniejszy kompozytor, jakiego poznałem.

Mnie z Sycylią kojarzy się koncert Take 6. Zespół nie brał honorariów, bo graliśmy za procenty z wpływów biletowych. Na sali było ponad 2000 osób, więc bardzo się zdziwiłem, gdy organizator przyniósł wpływy jedynie z 300 biletów. Zapytałem, kim było pozostałe 1700 osób, i czemu nie kupiły biletów. Odpowiedź brzmiała: „to rodzina”. Okazało się jednak, że rodzinie koncert się podobał i przysłała przez umyślnego 20 000 dolarów. ○

Marek Szpendowski – producent filmowy, ale przede wszystkim właściciel agencji Viva Art, który organizował m.in. koncerty Luciano Pavarottiego, Michaela Jacksona czy zespołu The Rolling Stones. Dużo podróżuje i często zdarza mu się poznawać świat właśnie podczas delegacji, pospiesznie.



Cena: 819 zł
www.adidas.com

ADIDAS TERREX FAST R MID GTX

Sportowcy outdoorowi poszukujący lekkiego, sportowego, a jednocześnie stabilnego oraz szybkiego obuwia turystycznego pokochają Terrex Fast R. Oferują one bezpieczeństwo i stabilność przy zachowaniu niskiej wagi. Jest to możliwe dzięki zastosowaniu antypoślizgowej podeszwy wykonanej z innowacyjnego połączenia gumy Continental z technologią 3D FORMOTION™. Zachowanie kontroli przy zejściu możliwe jest dzięki kształtowi bieżnika w strefie pięty, gwarantującemu doskonałe dopasowanie. Ponadto, dzięki zastosowaniu membrany GORE-TEX®, but jest nieprzemakalny.

Cena: 46,50 zł
www.nordhorn.com.pl

NORDHORN NH4W – MERINO WOOL

Trekkingowe skarpety zaprojektowane z myślą o najbardziej wymagających. Wygodę noszenia jak również komfort ciepły gwarantuje Merino Wool – australijska wełna najwyższej jakości. Skarpety idealnie dopasowują się do nogi, a dzięki strefie z włókien COOLMAX® oraz odpowiedniemu splotowi, odprowadzają pot na zewnątrz. Skarpety NH4W będą towarzyszyć uczestnikom TORELL EXPEDITION 2012 – wyprawy, która na przełomie marca i kwietnia wyruszy śladami pierwszych polskich wypraw arktycznych na Spitsbergen.



Cena: 1059 zł
www.fam.gda.pl



JACK WOLFSKIN DISSENTER

Kurtka z membraną TEXAPORE AIR O3+ stanowi kompromis między tradycyjnymi kurtkami membranowymi a softshellami. Zapewnia doskonały komfort noszenia, ale w odróżnieniu od softshella jest całkowicie wodoodporna. Materiał z membraną TEXAPORE AIR O3+ jest lekkim, wodoodpornym i wiatroszczelnym laminatem o wysokich parametrach. Mikroporowata membrana umożliwia wydalenie wilgotnego powietrza oraz pary wodnej na zewnątrz ubrania. Ponadto zapewnia dotarcie świeżego, chłodzącego powietrza.

MERRELL INTERCEPT

Wierzch buta wykonany z naturalnej skóry. Wyprofilowana wkładka pochłania wilgoć i dopasowuje się do stopy. Poduszka powietrzna w podeszwie środkowej amortyzuje wstrząsy, zapewnia równowagę i kontrolę nad stopą. Gumowe zabezpieczenia z przodu buta chronią palce przed urazami, a dzięki podeszwie Vibram Axis model zyskuje większą przyczepność i sprawdzi się w ciężkich warunkach.



Cena: 369 zł
www.merrell.pl

LAFUMA HAVASU

Bluza z kapturem tkaniny Technowarm o gramaturze 200. Spłot przypominający dzianinę. Luźny krój. Kaptur regulowany taśmą. Bluza posiada trzy kieszenie. Szerokie mankiety. Dostępne rozmiary: S-XXL.



Cena: 349 zł
www.lafuma.com.pl



Cena: 799 zł
www.suunto.com/pl

SUUNTO QUEST

Niezależnie od tego, czy trenujesz przed zawodami, czy dla zabawy, potrzebujesz zegarka, na którym możesz polegać. Suunto Quest możesz dostosować do swoich potrzeb i pobierać do niego swoje programy. Monitorowanie tętna, prędkości, odległości, kadencji i kroków w czasie rzeczywistym. Wszystkie te możliwości w gustownym produkcie, który możesz mieć ze sobą codziennie. Dzięki niemu Twoje przeżycia w plenerze będą zawsze na właściwej drodze.

VARTA INDESTRUCTIBLE 1 WATT LED

Latarka jest częścią nowej oferty „niezniszczalnych” latarek znanego niemieckiego producenta. Jednowatowa dioda LED oraz wysokie parametry wytrzymałościowe sprawiają, że urządzenie sprawdza się wszędzie tam, gdzie oprócz braku światła możemy spodziewać się wymagających warunków. Urządzenie bez problemu znosi upadek z wysokości nawet 9 metrów. Tryb energooszczędny zapewnia zasięg 36 metrów i pozwala nawet na 15 godzin ciągłej pracy.



Cena: 80 zł
www.varta-consumer.pl

NIKON COOLPIX AW100

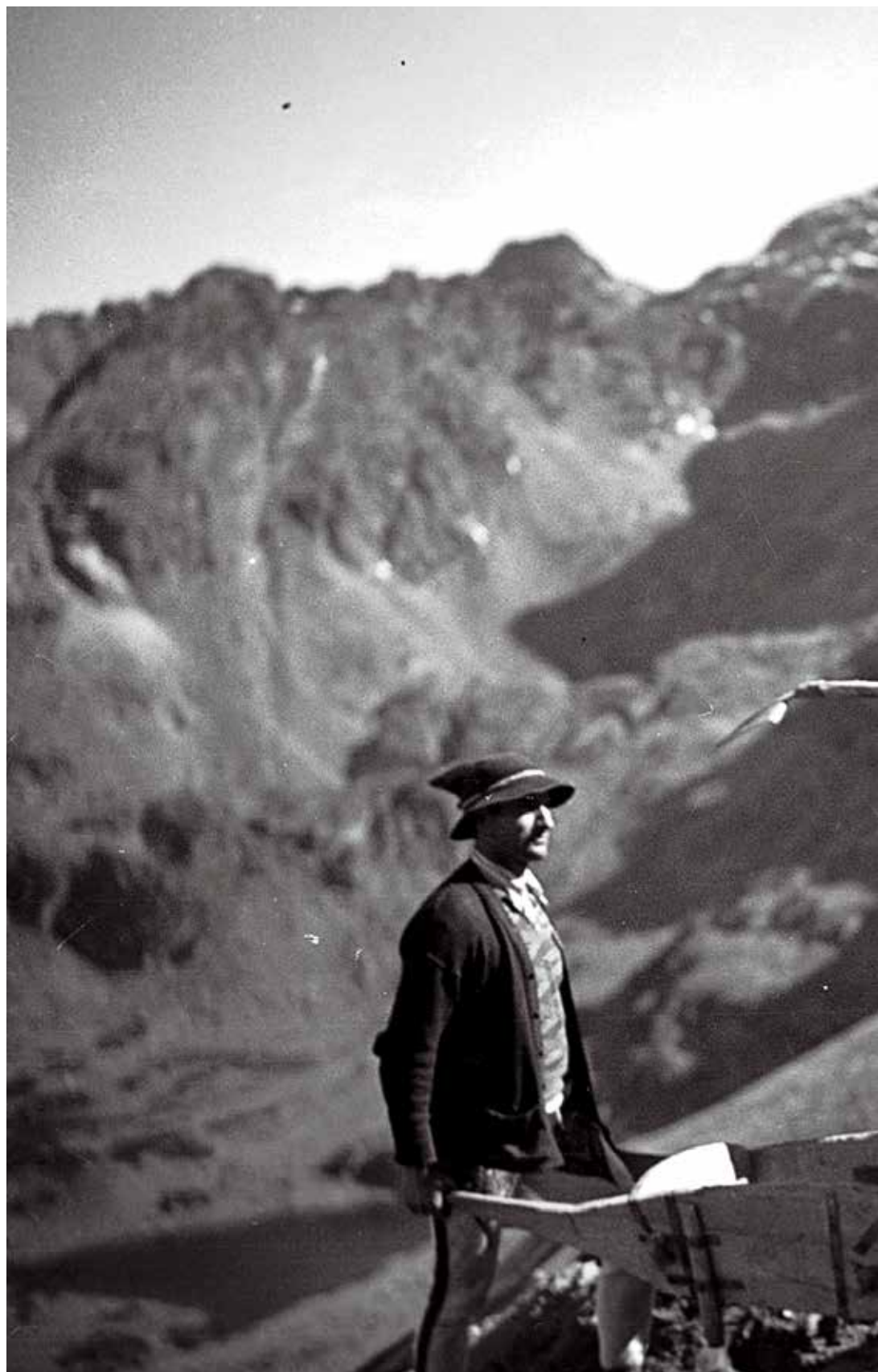
Został opracowany z myślą o miłośnikach aktywnego wypoczynku. Umożliwia fotografowanie w ekstremalnych warunkach: jest wodoszczelny do głębokości 10 m, odporny na wstrząsy przy upadku z wysokości do 1,5 m i odporny na mróz do temperatury -10°C. Dodatkowo oferuje wbudowany system GPS, kompas elektroniczny i mapy świata, w tym Polski. Dzięki zaawansowanemu układowi optycznemu oraz innowacyjnym rozwiązaniom, COOLPIX AW100 zapewnia znakomitą jakość zdjęć oraz filmów Full HD.



Cena: 1439 zł
www.nikon.pl

Kolejka na Kasprowy Wierch

W 1929 roku zorganizowano w Zakopanem pierwsze Mistrzostwa FIS. Wydarzenie to potwierdziło, iż rejon spełnia wymagania narciarzy i zaczęto planować budowę kolejki linowej. Przed rozpoczęciem robót budowlanych rozgorzała batalia prasowa przeciwników i zwolenników tej koncepcji. Państwowa Rada Ochrony Przyrody podała się w całości do dymisji, nie mogąc zapobiec inwestycji. Ostatecznie prace rozpoczęto 1 sierpnia 1935 roku. Przed wybudowaniem kolei roboczej materiały budowlane na szczyt dostarczane były przez tragarzy, a w ostatnim okresie wykorzystywano również 4 koniki huculskie. Prace budowlane prowadzono na dwie, a nawet trzy zmiany, w szczytowej fazie robót brało w nich udział około tysiąca osób. Pierwsi pasażerowie wjechali kolejką na Kasprowy Wierch 15 marca 1936 roku.







ZANZIBAR



IRAN



NEPAL

Poznaj Świat

Redaktor naczelny
Dariusz Małkowski

dariusz.malkowski@poznaj-swiat.pl · tel. 535 444 980

Zastępca redaktora naczelnego

Katarzyna Rojek

katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl · tel. 501 602 401

Sekretarz redakcji

Julia Michalczevska

redakcja@poznaj-swiat.pl · tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy

Wojciech Albiński, Ryszard Badowski,
Józef Baran, Agnieszka Bartusiak, Paweł Chara,
Marek Kamiński, Grzegorz Kapla, Robert Mazurek,
Beata Pawlikowska, Dariusz Rosiak,
Marek Szpendowski

Grafika DTP & Prepress

Artur Bury

Adres redakcji

80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17

e-mail: redakcja@poznaj-swiat.pl

www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo

PROBIER sp. z o.o. sp.k.

80-180 Gdańsk, Kowale ul. Glazurowa 7

Koordynator do spraw wydawniczych

Beata Pernak

tel. 583 508 464

PRENUMERATA KRAJOWA

numer rachunku 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004

posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA

BRE Bank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8

IBAN PL 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004

SWIFT BREXPLPWGDA

Reklama

Aleksandra Musiał

tel. 664 115 333

Grzegorz Miedziński

tel. 501 641 706

Olga Kołakowska

tel. 501 050 624

Maria Rzeźniczek

tel. 600 969 297

Agata Królikowska

tel. 609 028 798

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Zastrzega sobie prawo do zmian tytułów
i opracowania redakcyjnego tekstów. Redakcja nie odpowiada
za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń.

www.logostour.pl

801 011 864



Logos Tour
BIURO TURYSTYKI ZNP

Podróże na 7 kontynentów z LogosTour

Europa

Azja

Afryka

Australia

Ameryka Płn.

Ameryka Płd.

Antarktyda

Sprawdź naszą ofertę
ponad **150** tras
oferujących niezapomniane
przeżycia

TURCJA
NAMIBIA – BOTSWANA
– ZIMBABWE
+ opcja RPA

EMIRATY ARABSKIE
IRAN

CHINY
+ Tybet
USA
Wschodnie Wybrzeże

RPA
+ wycieczka do Suazi

ARGENTYNA – PARAGWAJ
– BRAZYLIA

CHINY
z Klasztorem Shaolin

UZBEKISTAN

PODRÓŻE DLA KONESERÓW:

USA - NOWY JORK

JAPONIA

EKWADOR

+ Wyspy Galapagos



VISIT
NORWAY
.PL

NORWEGIA

ODKRYJ MOC NATURY

Foto: CH/ Innovation Norway

Tego lata wybierz się na wakacje do Norwegii i odkryj moc natury. Poczuj przyływ energii wędrując po lodowcu i płynąc kajakiem po spokojnych wodach fiordu. Wyrusz na daleką północ, do krainy białych nocy, gdzie latem słońce nie zachodzi za horyzont.

Wejść na visitnorway.pl i zamów bezpłatny miniprzewodnik po Norwegii.

 **NORWAY**
POWERED BY NATURE
www.visitnorway.pl